

DZIEWCZE Z SĄCZA.

RZECZ MIESZCZAŃSKA

Z CZASU WOJNY SZWEDZKIEJ ROKU 1655.

WIERSZEM PRZEZ

MIECZYŚŁAWA ROMANOWSKIEGO.



M. Orkisz.

LWÓW,

W DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH.

1861.

BIELI W. C. & S. A. C. A.

WIECZNIK WIECZYSTY

W CIELE WOLNY SZWEDZKI ROK 1933

WIECZNIK WIECZYSTY



284-131

536590

WOLNY

W CIELE WOLNY SZWEDZKI ROK 1933

1981

Wieczorem.

W bielonej izbie, za cisowym stołem,
Pod wieczór, czworo siedziało ich społem.
Bliżej kominka dziadek Janusz, dalej,
Kędy się lampa przed Chrystusem pali,
Babka; pod oknem siedziała dziewczyna
Basia, kwiat Sącza, wnuczka ich jedyna.
Naprzeciw Bartek, cieśla z cieśłów sławnych,
W Sączu, ród jego należał do dawnych,
On sam już sławą cieszył się, choć młody,
A Bóg mu przytem nie skąpił uródy.

Słońce za góry zachodząc czerwono,
Zajrzało oknem w izbę ubieloną.
A że dziś była niedziela adwentu,
Więc spoczywali wszyscy gwoli świętu.
Janusz służeńym polecił gospodę,
Garniec i wino; z księgi dziewczę młode
Czytało świętych spisane żywoty.
Cieśla w nią patrzył, poprawiał kapoty
Ilekroć Basia czytanie przerwała.
Babce u czoła drzymka się wieszała;
Pod ścianą z niemi stał jej kołowrotek,
Z kłębuszkiem teraz igrał Basi kotek.

Właśnie skończyła Basia u rozdziału,
 Gdy Janusz z krzesła podniósł się pomału,
 I słowem księgi do głębi przejęty,
 Rzekł: «Wielkiś w twoich cudach, Panie święty!
 Wielkiś! bo wznosisz, gdzie z rozpaczy głowa,
 O! cudem dotąd stoi Częstochowa,
 I wierzę, że w niej Luter nie zagości.
 A nas tu zgnębia, skórę drą od kości
 Szósty już tydzień. Ha! skacz do muzyki,
 Jak ci zagrają Szwedy najezdzniki;....
 Niema sił!».... Chmurny przeszedł przez świetlicę,
 A potem utkwiał wzrok w Bogarodzie,
 Co złote ramy na kształt wieńca miała,
 I stał w zadumie, — łza po łzie spadała
 Na was, włos biały zsunał się na czoło;
 On włos odgarnął, westchnął, otarł poła
 Łzy, i wnet mowę obrócił do cieśli:
 «Rzeczcież! nowego coście też przynieśli?
 Ja trzeci tydzień nie chodzę do miasta,
 Ni ja, ni Basia, ni moja niewiasta;
 Jak zwierz człek w norę przed Szwedem się czai,
 Bo jak staremu chodzić śród tej zgrai.»

Bartłomiej odrzekł: «Marne powiadanie!
 Nową złość ważą ze Szwedem Arjanie.
 Szlichtyng i Florek Siemichowski, zbójca,
 I ten żyd Finkiel, komendanta trójca,
 Bawią na zamku; oni rada tajna
 Tego łupieżcy, półkownika Sztajna.

Potem Barycki, podatków poborca,
 Był dziś dwukrotnie ciągnany do dworca,
 I pan Szydłowski, patron kolegaty.
 A coś dwu poszło do wieży za kraty,
 Zaś Stare-miasto opuściły Panny —
 I tak się mnoży ucisk nieustanny!»

«O! dalej kory nie stanie na drzewie!»
 Wnet stary Janusz podchwycił mu w gniewie.
 «Straszne to Boga próby, — raczej kary,
 Tak marnie idą, i takie ofiary!
 Tu był król, z nami — dziś kędyś w Głogowie;
 A nasz Bylina rotmistrz, padł w Krakowie,
 I Czarnieckiego, żelazne to ramię,
 Zgina Bóg, choć go jeszcze nam nie łamie;
 Hetmany bez wojsk, Starosta na Spiżu,
 A my w ucisku jak przy nowym krzyżu
 Korzym się».... I stał chwilę zamyślony.
 Nie długo potem zwrócił się do żony,
 I rzekł: «Musimy pomodlić się razem,
 Zapalcieź lampę przed Kingi obrazem,
 Bo czią jej ziemia nasza się zastawia,
 I od niewoli święta Kinga zbawia;
 Za jej wstawieniem niech nas Bóg pociesza.»
 Posłuszna żona wnet lampę zawiesza;
 I klękli, jako było we zwyczaju,
 Starzy na przodzie, młoda para z kraju.

A po modlitwie Janusz wstał rzeźwiejszy,
 I rzekł: «To zamysł Szweda nie dzisiejszy,

Trzykrotnie już nas zarwał po szatańsku;
 Pomnę, gdy byłem za wódkami w Gdańsku, —
 (A byłem jeszcze za Adolfa króla,
 Co to go w Niemczech ugodziła kula.)
 Pod wieczór jakoś, w kupieckiej gospodzie
 Z jednym tam Szwedem zszedłem się na miodzie.
 Ten, że miał z nami stosunki handlowe,
 A zmyślny, więc znał dobrze polską mowę.
 I siedzim; — szklanka mijała po szklance,
 I żywo jakoś było w pogadance.
 Aż w końcu — patrzcie! co rzekł djabeł kusy, —
 Wstał, na głos w izbie wrzasnął: — Nasze Prusy!
Nasze Inflanty, — Bałtyk, bo tak chcemy,
 A gdy nie dacie sami, — odbierzemy, —
 I wymusimy na waszym narodzie! —
 Nie skończył. — Resztę słów utopił w miodzie.
 Bo pełny kufel pochwyciłem w rękę,
 I tak Szwedowi ciąłem nim w paszczękę,
 Że na podłogę stoczył się jak długi;
 Za drzwi go potem wyrzucili sługi.» —

Usiadł i ręką podparł siwą głowę,
 Myślą rozwinał przeszłych dni osnowę;
 I ujrzał siebie w dragońskim szyszaku,
 Konno z Rewerą na stepowym szlaku.
 Wojował z młodu, gdyż bywał burzliwy,
 I wspomniał sobie tatarskie cięciwy,
 I jako z wojny wrócił do rzemiosła,
 Jak go znów wojna aż za Boh zaniósła,

Potem na Szweda, Chocim, Kozaczyzna....
 I spokój, — powrót, — na głowie siwizna,
 Praca, śmierć dzieci,... dalej już nie szuka,
 Spojrzał; z nich jedna została mu wnuka,
 I westchnął: «Wszystko dzieci w bożej woli!
 Aleć on naszej pofolguje doli,
 Jak pomnę, różnie bywało już z nami —
 Toż koniec będzie i z tymi Szwedami.»

Lecz Babka przerwie: «Na Chrystusa rany
 Milczcie! na górze Szwed kwaterowany.
 Strach jak mróz ostry idzie mi wskrósć duszy —
 Bójcież się Boga! ściany mają uszy;
 Podsłucha! i cóż? jakiż wtedy opór?
 Wezmą was, głowy podacie pod topór,
 I w grób; a my co? my z Basią sieroty
 Musielibyśmy iść pod ludzkie płoty.
 Bogdajbym tego nigdy nie dożyła!»
 Umilkła, i krzyż na piersiach złożyła.

Dziewczę spokojnie słuchało rozmowy,
 Lecz zda się, Babki urażona słowy,
 Wstała; — rumieniec wykwitł na jej licach,
 Skier dwoje żywo spłoneęło w żrenicach,
 I rzekła; «Babko, nie miejcie obawy,
 Pan Oskar dzisiaj na zamku ma sprawy.
 Widziałam jako tu przyszedł z rozkazem
 Trębacz, — a potem do Sztajna szli razem
 W miasto. On, — choćby słyszał dziadka mowy,
 Pewnam, — nikomu włos nie spadłby z głowy.

A przytem zważcie, to nie żołdak prosty;
 Oficer i syn szwedzkiego starosty.
 A jaki dobry. — Wszak mówią sąsiedzi,
 Co to się z innym Szwedem człek nabiedzi.
 On zaś czy spojrzeć kiedy na nas krzywo?
 Gdzie tam, za wszystko dziękuje tak żywo,
 O! bo też dusza w poczciwości rzadka!
 A jak on lubi i babkę i dziadka,
 Was Bartku, i... mnie»... Tu przestała
 Zmieszana, jednak pokryć to umiała,
 I rzekła dalej: «Gdy siądę w gospodzie,
 By was wyręczyć przy winie i miodzie,
 To ledwie przyjdzie Oskar i powita,
 Zaraz się grzecznie o was wszystkich pyta, —
 Rozmawia, życie opowiada swoje;..
 Oskar ma także w domu dziadków dwoje,
 I siostrę jak ja, a mówił osobno,
 Że siostra do mnie całkiem jest podobną.
 Na wojnę poszedł, bo mu dziad poradził,
 O! nie, on zacny, on by nas nie zdradził.»

Lecz Bartek na to: «Luter i poczciwy?
 Tego pod słońcem niema jakom żywy!
 Wierzcie mu Basiu kiedy słodko gada,
 Wąż to! a w spiące serce się zakrada
 Czy słówko jakie od was nie wyludzi;
 Strzeżcie się, bo on żądłem was obudzi.»
 I powstał, z czoła uciekła mu smętność,
 Z ocz mu gorąca błyskała namiętność,

Dłoń ścisnął, jakby w dłoni toporzysko
 Czuł i rzekł: «Wiecie? ratunek nasz blisko!
 Dobrze że niema Lichtenawa w domu....
 Powiem, że jest nas poratować komu.
 Pokąd gór naszych dzikich i wyniosłych,
 Pokąd górali jak smereki rosłych, —
 A na toporach dopokąd stał czysta,
 Potąd nam nie paść u stóp antychrysta.
 Dziś tydzień jako przebiegałem góry,
 Widziałem ludu nieprzebrane chmury.
 Słyszałem, wszyscy Szweda nienawidzą,
 Królewscy, ci się Lutrem jak psem brzydzą —
 Co który wspomni, że jego gurmana
 Z koroną, zaklnie w Szweda jak w szatana.
 Nawet zbójnicy: Litmanowski Nędza
 U Obidzkiego spowiadał się księdza,
 I nóż pociąga na tych heretyków;
 Strzelcy zaś leją kule nie na dzików,
 A Wąsowicze lud zbierają w półki,
 A ciągną ku nim ludzie jak jaskółki.
 Znacie ich, — rażni, nie lękliwi znoju,
 A będą jako wilk w owczarni w boju.
 Ha! potańcujeż Szwed da Bóg! niebawem; —
 Na rzece ze krwi z tąd poszlem go splawem;
 Flisacy Wisłą bo w tem ich ochota;
 Ja ostrzę bardę — oj! będzie robota
 Dla naszych pięści pewnie za trzy jutra,
 A ujrzym czy Bóg nie starszy od Lutra!

Wielce Janusza cieszyły te słowa,

I wnet się dłuższa poczęła rozmowa.
 Babka usiadła, Basia cicho wstała,
 Długo się w obu mówiących patrzała,
 I znać, na straszną zbierało się burzę,
 Bo z lica Basi zeszły kraśne róże;
 W oczach, w głębię serca kryć nie zwykły,
 Promienie gasły i pod łzami nikły.
 «Wytniem ich!» krzyknął Bartek, — Basia zbladła,
 I z płaczem drżąc na krzesło usiadła.

Babka to widząc pospieszyła do niej;
 «Co tobie?» pyta, «a niechże Bóg broni,
 Chora!» — Więc obaj zmilkli w jednej chwili,
 I zatrwożeni w Basię się wpatrzyli.
 «Mnie nic,» — w tem dziewczę odrzekło powoli —
 «Tylko mnie jakoś dziwnie serce boli,
 I w głowie szumi, i w oczach mi ciemno,
 Ja sama niewiem co się dzieje ze mną —
 Strasznie mi jakoś teraz na tym świecie.»

«Pieszczotka moja, biedne moje dziecię;
 Zlekłås się!» — tuląc ją babka odpowie —
 «Bo też wam Bartku zawsze strachy w głowie,
 Odkąd was znam. Ot ręką ledwie może władać
 Tak drży, i trzebaż było opowiadać
 To, czego niema, nie było, nie będzie?
 Ale wam pilno, więc krew', wojna wszędzie
 I na języku. Ptaszko bądź spokojna!
 My, cóż my znaczym, nas ominie wojna...

Ej! bo już rzućcie to gadanie zdrożne;
Święto, — ot książki czytajcie nabożne.»

Cieśla stał, zdał się nie słyszeć tej mowy.
Mlezał, w dziewczynę utkwiał wzrok surowy,
Co biegł aż w duszę — ona się spłoniła
Wsparała się ręką o stół, oczy skryła;
On westchnął, smutek rozlał mu się w twarzy,
Zapalił świecznik, usiadł, siedli starzy,
Wziął księgę, czytał z żywotu kapłanów,
Jak święty Jacek odpędził poganów.



Sam na sam.

Przeszła godzina — starzy się zdrzymali,
Basia siedziała, Bartek czytał dalej.
Lecz coraz ciszej, i często się miewał,
Stawał, i wzrok swój na dziewczynie wieszał,
A potem wiersze pomyłone chwycił,
Opuszczał, czasem jedno dwakroć czytał,
A nawet inne wypowiadał słowa. —
Czuł to, lecz ogniem płonęła mu głowa,
Serce mu biło gwałtownie gdy zmylił.
Chciał się poprawić, wzrok ku księdze chylił,
Lecz z księgi biegły nieposłuszne oczy
Do Basi, bo tam był ich świat uroczy.
Toż widząc że tych czarów nie odgoni,
Zbliżył się, westchnął, i jął szeptać do niej:
«Przelekłem ciebie? Basiu! nie chciej winić,
Jeden Bóg tylko wie co z sercem czynić, —
Jako je w piersi trzymać — gdy rozboli? —
Jeśli cię zląkłem dziewczę, — to bez woli
Zgrzeszyło słowo; — dusza o tem nie wie;
Toż oczął Basiu nie odwracaj w gniewie,
Przebacz!»... i dłoń swą na sercu położył,
Spłonił się, drżące usta w pół otworzył,

Schylony nad nią, w pierś chwyta jej tchnienie,
 Wzrokiem ją chłonie, i karmi płomienie
 Serca, rosnące w szale i zachwycie,
 Jakby nią całe wypełnić chciał życie.

Ale snąć, mało Basia go słyszała,
 Sniła, twarz jeszcze zadumaną miała,
 Gdy oczy, w których odbłask marzeń kona,
 Na Bartłomieja zwróciła zdumiona,
 I cichym głosem, myśli swych nie pewna,
 Rzekła: «Cóż chcecie? ja wam nic nie gniewna.»

«Nie?!» odparł Bartek i radością skraśniał,
 A wzrok jak słońce wiosenne mu jaśniał:
 «Oj ty dziewczyno! ty gołąbko biała,
 Patrzaj; — rzekł czule — coś ze mnie zdziałała!
 Ja, śmiadek pierwszy, jak nieżywy stoję,
 Kiedy zachmurzysz jasne oczka twoje.
 Basiu! ej kiedyż Basia mi nadgrodzi
 To, że rok trzeci tak marnie mi schodzi?
 Kiedyż wędrówki, czekanie, tęsknotę?...
 Basiu! jedyna, — ptaszę moje złote!
 Raz ty mi ulżyj ciężkiej serca spieki,
 Życie i pracę oddam ci na wieki!»
 I silne ku niej wyciągnął ramiona,
 Basia się przed nim cofnęła złęczona, —
 Ale Bartłomiej w uczucia natłoku,
 Nie pojął zda się jej chłodnego wzroku,
 I rzecze: «Cieślam dziewczę jak mój rodzic,
 Lecz niech mi sercem sprostą wojewodzie!

Nikt Basiu jak ja nie pokocha ciebie,
 Dla mnie tyś jedna, jak jeden Bóg w niebie!
 Przy tobie to już chyba ta garść ziemi,
 Co kiedyś z kośćmi zmiesza się mojemi...
 Pójdź!» Lecz nim słowo to z ust mu wypadło,
 Dziewczę się znowu cofnęło i zbladło,
 Milcząc usiadła na krzesło dębowe,
 I o dłoń białą smutna wsparła głowę.

A on w nią patrząc żałośnie wstrząsnął głową:
 «Widzę ja, dla mnie zimnaś jednakowo, —
 I miłość moja ciebie nie poruszy...
 O! Basiu! — Basiu moja! — nie masz duszy!»
 Lecz już boleści nie mógł wstrzymać w łonie;
 Zmierzył ją wzrokiem, twarde ścisnął dłonie,
 I jęknął: «Kiedyś porwę mą siekierę,
 W pół nią rozplątam moje piersi szczerę,
 I wydre serce; a ty patrz do woli,
 Jak ono kocha ciebie, a jak boli,
 Co krwi spalonej z niego już wyciekło,
 I umrę... Basiu! — Basiu pójdę w piekło!»

I przestał mówić, i w głos się rozszlochał,
 I łzami tylko skarżył że tak kochał;
 Ona zaś z rączki skroń podniosła białą,
 Spojrzała, w oczach miała duszę całą, —
 Miała żal szczerej, siostrzanej litości,
 I siebie całą, — — jeno nie miłości.
 Lecz wnet się ozwie z litośnym uśmiechem:
 «Ej Bartłomieju, tak wyrzekać grzechem.

Cóż wam? to wojny to znów żony chcecie,
Od żony znów was na wojnę pomiecie;
I tak bez końca będzie tej swawoli,
Ot zaprzestańcie, bo aż słuchać boli.»

«Boli?!» Bartłomiej pochwycił z zapalą,
«Ha! pomyśl dziewczę, czem to ja się stałem!
Gdzie moja młodość? na tęsknocie znika!
I już sąsiedzi mają mnie za dzika —
A to przez ciebie wszystko—och!»... i zakrył oczy,
Uczuł, że widmo znów mu ducha mroczy,
Wabi go... On raz z bardą stał na skale,
I sosny spuszczał w Dunajcowe fale,
Wtem spojrzął; strach! strach! z fali jasnołice
W płasach skoczyły na brzeg topielice.
W złociste, z tęczy przyodziane rąbki,
Jeły ku niemu latać jak gołąbki,
A tak patrzyły, tak nęciły zdradnie:
Skocz! skocz do fali, u nas cicho na dnie!
A dźwięk ich głosu był tak czuły, tkliwy,
A on był wtedy, ach! tak nieszczęśliwy,
Że już pochwycił jednej rękę białą,
Skłonił się, i z nią zawisnął nad skałą,...
Lecz wnet wzburzoną pierś krzyżem przeżegnał,
Padł, i zapłakał i widmo odegnał.
Teraz to wszystko budzi się w pamięci,
Upaja, łechce, i tam w góry nęci.

Przemógł się; mówić wnet począł spokojnie:
«Nie dziś, — to Basiu moja choć po wojnie.

Każesz rok czekać? będę jako żywo,
 Choć Bóg wie z jaką duszą niecierpliwą!
 Chcesz dłużej? niech się wola twoja dzieje;
 Jenó mi zostaw dziewczyno nadzieję.»
 Rzekł, i od oczu szorstką dłoń przycisnął,
 Ale z pod palców strumień łez mu trysnął.

A ona wstała, pobladła jak chusta,
 Drżały jej ręce, drżała pierś i usta,
 Łzy w oczach; oczu nie śmie nań podnosić.
 Chciałaby tylko przemówić — coś prosić...
 Milczała, potem na wpół bezprzytomnie
 Rzuciła z jękiem: «Zapomniejcie o mnie!»
 I zmiłkła.

A w nim serce bić ustało,
 Zachwiał się, zsiniał, potem twarz miał białą
 Jak trup, i czuć w nim było ciszę śmierci.
 Tak dąb, gdy piorun wewnątrz mu przewierci,
 Stoi spokojny nim o ziemię gruchnie.
 Wstrząsł się, snąc poczuł życie, ogień w próchnie;
 Zgrzytnął, pierś ścisnął, pijany z rozpacz
 Wpadł w drzwi i jęknął: «Niech ci Bóg przebaczy!»

I cisza; — dziewczę samotne zostało,
 Stoi, na sercu trzyma rączkę białą,
 Łzy się jej do ocz cisną mimo woli,
 Smutno jej; serce ścisnęło się, boli.
 Bartek ją w takiej opuścił rozpacz...
 «Niech Bóg przebaczy!»... «Bartek,—czy przebaczy?»...

Spojrzała... starców dwoje w śnie coś marzy;
 Uśmiech im lata od twarzy do twarzy.
 Złękła się, w piersi czuła dreszcz zimniejszą
 I cisza w izbie stała się straszniejszą.

Lekko więc krzesłem stukając usiada.
 Już nawet starców obudzić by rada,
 By jeno zbyć się z izby strasznej ciszy,
 Gdzie oprócz serca swego nic nie słyszy,
 I kędy Bartek stoi czarną zmorą,
 A lampy u ścian tak posępnie gorą,...
 Lecz dziadkowie spią.

Niespokojna wstała:

«Gdybym ja była nigdy go nie znała:
 ««Niech Bóg przebaczy!»» rzekł, «a cóż ja winna?..
 Gdyby on wiedział»... ale w tem myśl inna
 Tknęła ją; bieży do okna i słucha,
 I usteczkami na biały mróz chucha,
 Myśli, pogląda w okno niecierpliwa;
 Kogoś snąć jeszcze dzisiaj się spodziewa,
 I kędys w dali jej spojrzenia toną,
 Ale tam cicho, noc i gwiazdy płoną.

Smutniejsza, może patrzeniem znużona,
 Odeszła, ręce krzyżując u łona,
 I szepta idąc: «Jak on strasznie szlochał!
 Mój Boże! poco Bartek mnie pokochał?
 Gdybyż to tylko minęło szaleństwo!...
 Czemu my sobie z Bartkiem nie rodzeństwo!..

Rośliśmy, prawie chowali się razem,
 Pacierz pod jednym mówili obrazem, ...
 Duszę bym całą dziś mu wygadała ...
 Ale on straszny taki!»... I zadrżała, —
 Jakiś strach nagle przeszył ją do głębi
 Jak stal, co serce, rozdzierając, ziębi.
 Więc się zwróciła, i z różańcem w ręku
 Świętej się pannie ukorzyła w lęku.
 Modląc się w świętą wzrok zatapia cały
 A z ócz jej patrzy dusza, gołąb biały.

Tak anioł, kiedy pióry srebrzystemi
 Zleci z błękitu i dotknie się ziemi,
 Stawa i chwilę ogląda zdziwiony
 Świat, co dla niego mgłami otulony —
 Głębiej się potem zanurzywszy w cienie
 Uczuje przestrach, i wraca w promienie.



Przy studni.

Od modłów wstała uśmiechnięta, jasna,
Spokojna w duszy i rumieńcem krasna.
Różaniec jeszcze trzyma w białej dłoni,
A uczuć pełna jako lilja woni,
I tak usiadła cicha i świat boży
Myślą ubiera w blaski rannej zorzy.

Ale po chwili do okna pobiegła,
Pogląda; w cieniu znać kogoś postrzegła,
Przeczuła raczej, i cała spłoniona
Stojąc, ręk dwoje cisnęła do łona:
«On!»... rzekła z cicha, a tam z ciemnej dali,
Już słychać było kroki i szcęk stali.
«On!» i zmieszana waha się czy czekać,
Czy wyjść na przeciw, czy z wstydu uciekać.
Ku drzwiom co chwila zwraca jasne oczy,
Serce jej z piersi ledwie nie wyskoczy:
«Co robić?» myśli — «on może tu wstąpi...
Może nie wstąpi! — ach! on tak się skapi!
Zdybać go trudno; — rano mi się skłonił,
Potem nie przyszedł, tak jakby mię stronił...

Nie dobry! — tylem o nim dziś myślała»...
 Tak myśląc spiesźnie kubraczek zawdziała,
 I poskoczyła ku drzwiom; lecz znów stoi,
 I myśli: «Może obudzą się moi!
 I on sam może pomyśli żem płocha!..
 Nie! ach! on niewie jak Basia go kocha!
 Oj biedna ja! oj zginie serce marnie,
 Jeśli kochaniem on je nie ogarnie!»..
 Marzy, łez dwoje spadło na jagody,
 I wzięła dzbanek... «Tak, przyniosę wody.»

Wybiegła, patrzy: noc cicha bez chmury,
 Księżyc i gwiazdy; dalej śnieżne góry.
 Kościoły, których krzyże w niebo wrosły,
 Rynek, za rynkiem Sącza gród wyniosły
 Groźnie powiewa chorągwiemi z wieży.
 Miasto w śnie jak ul gdy rój go odbieży,
 Po basztach tylko migocą się blachy,
 Gdzie w zbrojach szwedzkie stały szyldwachy,
 I światła w oknach.

Już przy studni stoi,
 Widzi go, jednak sroma się i boi
 By jej Lichtenaw tak nie zastał w mieście,
 I skryć za studnię już chwiała się wreszcie.
 Lecz właśnie z góry jasny blask księżycy,
 Stoczył się na jej uśmiechnięte lica,
 I Oskarowi w cieniu ją odsłonił;
 Ten stanął, wpatrzył się — potem się skłonił...

I piękni z duszą odbitą w spojrzeniach,
Stali tak w złotych księżycy promieniach.

Ale wnet Oskar pochwycił jej rękę
I rzekł: «Bóg z wami! przepraszam panienkę.
Waszych ócz jasnych nie miałem od rania,
Dzień cały... sercu za wiele czekania!»
Lecz nagle tkliwość z jego ócz uciekła,
Twarz uśmiechniętą zgroza mu obwlekła;
Pochylił czoło, do siebie rzekł smutnie:...
«Za tajemnicę Sztajn głowę mi utnie,
Jeśli tem zniszczę jego czyn piekielny;
Krew... o! mój Boże!... ha! i Sztajn śmiertelny!..»
I lewą ścisnął srebrną miecza głównię,
Prawą zaś Basi dłoń ujął gwałtownie,
I tak na dziewczę poglądał ponuro,
Czoło mu taką zasłuło się chmurą,
Że się wyrazu tych ócz Basia zlekła,
I patrząc ledwie z przestachu nie jękła.
On ją oczyma nieustannie mierzył
Szepcząc: «A mozem ja pozorom wierzył? —
Przekleństwo! ona musi wszystko wiedzieć.
Zdradzę? nie! pierwszej musi mi powiedzieć,
Czy kocha... choć nie, to ją wyrwać muszę,
Choćby mi przyszło zgubić własną duszę...
O! Basiu, jęknął poglądając łzawo,
Ty nie wiesz dziewczę, jak mi w duszy krwawo,
Ty nie wiesz jakich okrótnych mam panów —
Lecz ja cię wyrwę z ręki tych szatanów.»

«Cóż to jest?» Basia trwożnie zapytała —
 «Tak smutnym nigdy pana nie widziała»....
 On stał, poglądał, wahał się i myślał,
 I niespokojny mieczem w śniegu kryślił —
 Krom uczuć jeszcze chciał rzecz wielkiej wagi
 Wyznać, i nie miał ni słów ni odwagi —
 Lecz «Dość! zawoła, Basiu! życie moje!
 Dość, w twoich oczach płonie serce twoje...
 Ty kochasz?!... Oczek niekryj rączką białą!
 Bo w nich tę miłość niebo napisało
 Dla mnie;—o Basiu! o nich ja słyszałem
 Pierwej niż ciebie—niż te strony znałem,
 Chłopiędziem jeszcze.—Biegałem ku jezioru
 Raz w letni ranek, wtem nadeszła z boru
 Wróżka znajoma u nas dookoła,
 Że znała leki, i zbierała zioła.
 Jam stał, a ona wpatrzyła się we mnie,
 Jakby mą duszę chciała dobyć ze mnie,
 I rzekła:... «Dziewcze serce ci rozpali...
Krwi będą ludzie od ciebie żądali—
Ty chwycisz serce!—Taka twoja droga,
A każda droga wytknięta od Boga.»»
 Dziś Basiu moja rozumiem tę wróżbę:
 Ta dłoń, nie serce u króla ma służbę —
 Sztajn krwi chce waszej, więc się dłoni zbędę,
 Utnę, a w waszej krwi kalać nie będę,
 I wyratuję cię ztąd choć bez dłoni
 Z krwi i z płomieni!»

«A niech Bóg was broni!

Krzyknęła Basia — mówcież! co się stało?»
I miecz mu rączką zasłoniła białą.

«Przebacz! rzekł Oskar rzewnie, przebacz mi! Basia mię kocha?!» ona się spłoniła
I milczy, ale słowom jego rada,
Oczkami stokroć «kocham» odpowiada.
On dłoń jej chwycił i ścisnął gwałtownie:
«O! ja cię Basiu kocham niewymownie!
Tyś moją; coż król? jam jak król bogaty,
I możny jako król mój, a te szaty
I barwy, choć są słuźalca znamieniem,
Wiem droga, żem je tem wdziawał ramieniem,
I tem ramieniem znów je zedrzeć mogę.
Milczysz? — Dla ciebie dziewczę moje drogie
Wszystko! — Ty dla mnie nie masz ani słowa?»

Basia to spłonie, to oczęta chowa
W cieniu rzęs, dłoń mu ścisnęła nie znacznie,
I pochyliła twarz, i mówić zacznie
Zmieszana: «Wiecie, ja dziadków mam dwoje,
Im Bóg poruczył przeznaczenie moje,
Jeśli na naszą zecheecie przejść wiarę,
Pobłogosławią was ich dłonie stare,
I dadzą wam mnie; przyszlizie więc w swaty
Kogoś do dziadków, do naszej tam chaty.
A gdy zastawią biały chleb i wino,
Gdy się dziadkowie ucieszą nowiną...
Gdy każą, powiem; inaczej rzecz zdroźna —
I nie odpowie dziewczę ni wielmożna.»

Lecz Oskar przerwał: «Basiu! nie czas zwlekać.
 Bóg tam wie komu jutra się doczekać;
 Dziś nasze, żyjmyż! — Ja dziś muszę wiedzieć!
 Zginie, gdy dziś mi nie zechcesz powiedzieć.
 Jutro, pojutrze o takiej godzinie
 Może się tylko dym tędy rozwinie....
 Basiu!» i drżącą pochwycił w ramiona,
 I z namiętnością przycisnął do łona,
 Tulił, a Basia już mu się nie broni;
 Uściskiem uścisk odpowiada dłoni,
 I rumieńcami pocałunek płaci...
 Księżyc promieniem cienie ich postaci
 Skreślił na śniegu, jakby chciał zostawić
 Ślad szczęścia, które nie umie tu bawić.

W uściskach stali oboje; a w mroku
 Stał Bartek, widział ich i grom miał w oku.
 Zgrzytnął, i nagle w drzwi domu się rzucił,
 Wnet wyszedł, lecz już z gwintówką powrócił,
 Patrzył, i raz się obejrzał w około;
 Wzniósł broń i zmierzył Oskarowi w czoło.
 Lecz odjął szepejąc: «W szyję palnąć wolę,
 Bo hełm stalowy siedzi mu na czole!»
 Wymierzył, lecz znów zadrzała mu ręka...
 «Przekłety Luter! — ha! mnie serce pęka,
 On szczęśliw — a ja? — ja pierś mu przebije;
 Ona rękami objęła mu szyję,
 W szyję nie mogę wypalić!» — Broń trzyma,
 Piersi Oskara prześzywa oczyma,

I śmierć tam widzi pierwej, niż dłoń mściwa
 Strzał poszła. Wściekłość duszę mu porywa....
 Wymierzył, lecz znów odjął i spozierał,
 I znów to serce, to głowę wybierał —
 Wszystkiego jednak było mu za mało;
 On radby zniszczyć jego postać całą,
 W pył rozbić; i znów rusznicę przyłożył,
 Lecz wtem czeladnik jego drzwi otworzył,
 I ledwie Bartka mierzącego zoczył,
 Zgrozą przejęty ku niemu poskoczył,
 Broń wyrwał: „Coż wam? a macież wy Boga
 W sercu? — Co majstrze? przez jednego wroga
 Chcecie nas wszystkich pograżyć w nieszczęście?”
 A Bartek na to: „Ty! — silne masz pięście
 Jak niedźwiedź — tylko ha! krwi w tobie braknie,
 A moja dusza krwi, oj krwi tak łaknie!
 Daj broń, ja krwi chcę!”

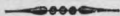
«Będzie ona, będzie!

Odrzekł czeladnik, — niechno po koledzie —
 Wytniem»...

Bartkowi ogień w oczach błysnął,
 Cofnął się, rękę do czoła przycisnął,
 Myślał, i lico miał już spokojniejsze,
 Choć myśli były krwawsze i straszniejsze:
 «Ich wszystkich, rzecze, chodź pomiędzy ludzi —
 Kogo nie zbudzę ja, to Bóg przebudzi —
 Wszystkich do trzech dni — ha! do tej roboty
 Nie braknie u nas nikomu ochoty.»

«To chodźmyż majstrze! w Janusza gospodzie,
I młódź i cechy zastaniem przy miodzie.»

Odeszli. — Ci zaś, ani śnili o tem
Jakiem ich Bartek przewitać chciał grzmotem.
Oddani sobie stoją śród rozmowy.
Przerywanemi Oskar mówił słowy...
I znać że miłość mieszał z tajemnicą,
Bo u niej bladło to kraśniało lico;
Składała ręce, czasem przerażona
Drgnęła, i jęk się wydzierał z jej łona,
Ale z czułością wtedy Oskar spieszył,
Wieść zrywał krwawą, i przelekłą cieszył,
I opowiadał, i tak zbył się wieści...
Mówi już czulej i gołąbkę pieści,
A tak miłością znać olśnił ją całą,
Że tylko dla niej Basi duszy stało;
Że tym dniem pierwszym szczęścia wniebowzięta,
Jak anioł stoi topiąc w nim oczęta
Pełne promieni... Myśli w niej nim wstaną,
Czuje jak kocha, i jak jest kochaną.



Gospoda.

W domu Janusza, w obszernej gospodzie,
Mieszczańskie koło zasiadło przy miodzie.
Wprost drzwi Marcowicz burmistrz, sądu głowa,
Siadł jako pierwsza *dignitas* miejscowa.
Przy nim po prawej rajcy, po lewicy
Kupcy, cechowi starsi i ławnicy,
Patrycyat miejski. — Dalej stół dębowy,
Który w krąg izby szedł kształtem podkowy,
Obsiedli mistrze różnego rzemiosła;
Każdy tam, kędy ochota go niosła,
A młódź po izbie rozpierzchła się cała.
Troje lamp światłem błyska u powały
Z za bań czerwonych, i stroi w purpurę
Ściany i gości oblicza ponure.
U drzwi zaś szynkfas.

Lepsze dni i święta,
Gospodnia izba Janusza pamięta!
Dziesiąte ledwie w aktach zapisano,
Co tu zapito, wygrano, przegrano.
Każdy kąt, stoły, szklanki, szynkfas, ławy,
Znały dokładnie wszystkie miejskie sprawy.

Ależ gospoda wielce bo już dawna,
 Czysta, i samym gospodarzem sławna.
 Więc rad mieszczanin sandecki wyrusza,
 Nawiedzić izbę siwego Janusza,
 Bo to bywalec, co znał wszystkie strony
 Mazowsza, Rusi, Litwy i Korony,
 A przytem w radzie nie pośledni głową;
 Czy zgodzić spornych, czy dać za kim słowo,
 Gdy stary poczał, cichnął gwar okrzyków,
 I obierano rajców i ławników;
 Z tą też najbliżej było do ratusza,
 Gdzie był sąd, akta, słowem miasta dusza.
 Dziś tam strażnica.

Brakło dziś Janusza.

U niejednego zakrwawiona dusza
 Smutkiem lub gniewem; młódź piosnek nie śpiewa,
 Szynkarka tylko biega i nalewa,
 Mieszczanie piją, między sobą gwarzą,
 I klną Lutrowi, i na biedę skarżą
 Jak na kość w gardle.

Za osobnym stołem,
 Siedział Bartłomiej z czeladnikiem społem.
 Pili miód; czasem pochyliwszy głowy,
 Szeptali słowa zarwane z rozmowy,
 I milkli, baczność dając pogadance,
 A obaj byli już przy drugiej szklance.

Ale Bartkowi zda się lat przybyło.
 Pobladł, dwa zmarszczki w czoło mu się wryło;
 Zmężniał, spowaźniał wielce. Przed godziną
 Widział się z dzielną czeladników gminą,
 Potem u młodszych majstrów chwilę bawił;
 Miał wieści, kilku swych po wsiach wyprawił,
 I wyspokojniał... Ale widać było,
 Że mu chwilami serce strasznie biło,
 I myśl mu duszą miotała gorąca,
 Jasna jak piorun, jak piorun niszcząca.
 A wzrok miał hardy, ostry, czasem smętny,
 Czasem mu oczy rozłilił żar namiętny,
 Wtedy brał szklankę, pił jakby chciał zapić
 Ból, co mu serce nie przestawał trapić.
 Pił; a gwar w izbie rośnie, Bartek słucha:
 Skargi! — balsamem to dla jego ucha;
 Pije — lecz ognia nie zdradza w postaci,
 A widać że miał cześć u młodszej braci,
 Bo szli go witać, ów szklanką, ten słowy,
 Ale on baczył na starszych rozmowy.

A właśnie począł Cyrus cechmistrz szewski:
 «Przepadnie bracia nasz Sącz gród królewski!
 Bóg wie czy tydzień podołamy nędzy! —
 Z niskąd zarobku, a tu daj pieniędzy,
 I kwatyrunek, i żyw jeszcze biesa!
 Niewiem jak u was, ale moja kiesa
 Już próżna... czart bierz! wnet porzucę miasto,
 I w Tatry z moją ucieknę niewiastą.»

Światłowicz kramarz odrzekł: «Ja tak samo!
Odkąd ich djabeł przyniósł młyńską bramą,
Szelağa jeszcze nie wziąłem za towar.»

«Mnie sól zabrali i wypili browar!»
Rzekł Gil.

Gadowicz, co młyn miał i żarno,
Rzekł: «Mnie zabrali i mąkę i ziarno,
Lecz da Bóg! kiedyś ja tych Lutrów kości
Przez moje pytle puszcę bez litości.»

«U mnie, ozwał się Olexowicz z rynku,
Pięć postaw sukna wzięli w upominku,
I talendyszu dwa, za mój dobytek
Dali mi wczoraj w zamku jakiś kwitek,
A Florek jeszcze ze mnie naigrawał,
Niepomny, żem ja ojcu na borg dawał.»

Szafarz Borycki odezwał się z cicha:
«Gdybyż choć Forgwell był został, pół licha!
Szwed, jednak ludzki; a Sztajn to syn smoczy!
Ot! znów mi kazał wydzierać wam oczy;
Tak! dać musicie co kto ma gotówki.
Dać, — lub gwałt będzie, żadnej tu wymówki.
A jeśli Szwedom kwota nie doważy,
Srebro i złoto zabiorą z ołtarzy.»
Gdy skończył, wszyscy zamilkli do koła,
Zgroza sędziwe pomarszczyła czoła;

Młódź, co po izbie rozpierzchnięta stała,
 Na Bartłomieja spojrzenia zwracała.
 Ten milczał, ale wszystkich mierzył wzrokiem.
 Czasem brwi ścigał na czole szerokiem;
 W oczach mu iskry tlały tajemnicze,
 Uśmiech mu zgasły wracał na oblicze;
 Patrzy w nich, patrząc zda mu się że słyszy
 Tętna ich serc. Tak przeszła chwila ciszy.

Ale Marcowicz burmistrz, człek poważny,
 Wstał, bo choć sercem wielce był odważny,
 I akta nawet raz podarł sędziemu,
 Kiedy w nie wyrok wpisał przeciw niemu —
 Musiał tu jednak tę rzecz mieć na względzie,
 Iż niebezpiecznie na jego urzędzie
 Słuchać spraw takich i rozmowy toku, —
 Zwłaszcza — gdy Sztajn go ciągle ma na oku,
 I radby pewnie zrzucić go za karę,
 By na ten urząd posadzić niezdarę,
 Więc *cauta mente* lękając się gromu,
 Pożegnał braci i poszedł do domu.

Miejsce to zajął Bogdajłowicz stary,
 Prarajca, bogacz, mąż gorącej wiary,
 I rzekł siadając: «Nędza nie ustanie!...
 Szwed Luter, na nas judzą go Arjanie,
 Szlichting i Florek: oba z biesem w spółce,
 Infamy! — niegdyś już już na szypółce, —
 Kryli się jeno po djabelskich norach;
 Dzisiaj, w ogromnych u Sztajna faworach,

Jak kruki wciąż mu krakają nad głową:
 «Drzyj mieszczan! ten ma to — a tamten owo!»
 A Wielogłowski co u Gadowicza
 Mieszka, ten także pyska im użycza.
 I znać nie lekce Sztajn go sobie waży,
 Kiedy broń miejską oddał jego straży.
 Znam ja ich! — co dnia widzę jak z Dąbrowej
 Przyjeżdża Szlichting do bramy zamkowej.
 Otóż sławetna braci! moja rada:
 Trzeba nam zbyć się tych dwu i sąsiada.
 Gdyby ktoś... gdyby w ziemię wgryzli zęby...
 Lutra usłużniej pozbawimy gęby.»
 Rzekł, i rękami wskazał ku podłodze,
 I siadł na stołku zagniewany srodze.

«Tak!» krzykną wszyscy,—wszystkim to rzecz znana
 Cyrus zaś dodał: «Tak, był dzisiaj z rana.»
 «I czart wie co on Sztajnowi poradził,
 Rzekł Bogdajłowicz, bo Szwed zaprowadził,
 Podwójne stráže u baszt i ratusza.»

Stach Krawczyk krzyknął: «Patrz! niewierna dusza,
 Patrz! ale myśl mi przychodzi wesoła
 Rzekł ciszej, patrząc z uśmiechem do koła:
 «Chłopcy! ja gotów, — dwu albo trzech jeszcze,
 A tak się z tymi Arjany popieszczę,
 Że Sztajn im będzie musiał *requiem* sprawić,
 No coż? gdy zgoda — to by nam niebawić,
 Lecz do Dąbrowej.»...

«Oto człek bez strachu,
 Rzekł Bogdajłowicz, — dzielniście mi Stachu!
 Chwat organista!»... Tak krawczyk był zwany,
 Przeto iż celnie podpalał organy,
 Te zaś w strzelnicach wisały na pasach,
 Dla gęstych strzałów w szturmowych zapasach
 U baszt.

Stanisław wielce się napuszył,
 Ale z młodzieży nikt ani się ruszył;
 Czekali, co im Bartek na to powie.
 Lecz on znać wtedy inną myśl miał w głowie,
 Zmarszczył brwi, o dłoń oparł się niedbale,
 Dumał i wzrokiem błędził po powale.

Stanisław był tem urażon widocznie,
 Więc wstał: «Coż chłopey, znów do młodych pocznie,
 Ze mną nikt? — A coż Bartłomiej tak milczy,
 I wzrok ma dzisiaj jakoś taki wileczy?
 Bartku! co w górze szukasz tam oczyma?»

Bartek wstał: «Duszy, krwi—bo w was jej niema!
 Że też wy zawsze jedni i ci sami!
 Gdy bieda, przyczyn szukacie za drzwiami,
 A ani przez myśl nie przeszło nikomu,
 Że tu przyczyna, w mieście w własnym domu.
 Szlichting i tamei? — tfu! — trzy zębki zmiji,
 Która łbów tysiąc ma u głodnej szyi,
 A cała tak się rozległa w tym grodzie,
 Że nas i bez nich z żywota wybodzie.

A gdybyśmy też, jakieśmy tu razem,
 Podali sobie dłoń, potem żelazem
 Jutro w noc szwedzką sprawili załogę,
 Lecz tak, by z miasta nie puścić i nogę?
 Coż ojce! bracia! — pomyślcie no szczerze!
 Ja — jako w Boga w dobry koniec wierzę —
 Wszak ani ludzie, a choć by szatany,
 To djabeł straszny tylko malowany,
 Lecz gdy ma serce w piersi, a krew w żyłach,
 I w stu pancerzach równy mi na siłach.
 Spojrzcie no! — z młodych każdy już gotowy
 Pójść i rznąć. Ojce! skńcie jeno głowy
 Na znak że zgoda i po waszej woli,
 A w trzy dni koniec Lutrom i niewoli.»

Stał, w krąg oczyma ognistemi wodził,
 Czuł, że tu wszystkich w samą pierś ugodził.
 Piorun słów jego padł tak niespodzianie,
 Że osłupieli z podziwu mieszczanie,
 I między chęcią, nadzieją i trwogą
 Chwiejni, nie jeszcze orzekać nie mogą.
 Więc milcząc wszyscy topią się w zadumie,
 Co by rzec na to. — W młodzieży zaś tłumie
 Był szmer... tak w borach naszych szemrzą drzewa
 Gdy się na burzę niebo przyodziewa
 W chmury, a ponad sine góry załomy,
 Skrawo dalekie wyblyskują gromy.

Lecz w tem Suszycki: «Jezus! on oszalał!»
 A Krawczyk gniewny: «Nie! on pałkę zalał»

Miodem, i miód go owiał taką jędzą.»...
 A ten im odparł: «Pijany'm, lecz nędzą,
 Hańbą, niedolą, wszystkiem co tak boli,
 Że człowiek raczej zginąć niż żyć woli.»

I huczne wstały krzyki i poswarki,
 I możeby się chwycono za barki,
 Bo młódź przejęta Bartłomieja sprawą,
 Groźna pięściami stanęła przed ławą,
 Ale Szydłowski, patron kolegijaty,
 Wstał i zawołał: «*Silentium* warjaty!
 Wściekli! z rozumu obrani do nitki —
 Tfu! Krawczyk stary a pierwszy do bitki —
 Wstyd!» — Wszyscy go też chętnie usłuchali,
 Więc pan Szydłowski sprawę ciągnął dalej,
 I rzecze: «Stachu! siądź, daj pokój zwadzie!
 Każdemu wolno podnieść głos w poradzie:
 Młody on, ale widzisz pierś ma zacząć,
 Pierś, jakiej w świecie nie nadybiesz łatwo.
 A ty znasz Bartku koniec twojej chęci?
 Oj! staniesz ludziom w przekłętej pamięci
 Za myśl, co w sercu gorącym się rodzi,
 Że Sącz on Szweda sam się oswobodzi.
 Młodzieńcze, cześni, lecz niesforne głowy,
 Każdy z was lecieć na oślep gotowy; —
 Cóż z tego? garstka, zginiecie jak muchy, —
 Za to nas potem Szwed rozbije w puchy,
 Wyrznie, i miasto zatopi w płomieniu,
 Że nie zostanie kamień na kamieniu.

Baczie wy, — jaki koniec tu być może:
 Gród i kościoły w popiół — a nam noże!
 Jam stary, i żyć jeszcze mi niewiele,
 Śmierć mi nie straszną, lecz mam duszę w ciele,
 I lękałbym się stać przyczyną jatek,
 Sieroctwa dzieci, płaczu żon i matek;
 Potem ich kłatwą obciążon jak trądem,
 Nieśmiałybym stanąć tam — przed bożym sądem.»

Na to Suszycki Jędrzej, pisarz miasta,
 Referent, skribów wzór i protoplasta,
 Rad że nakoniec do słowa przyjsć może,
 Rzekł: «Tu rzecz miejska, — w niebie sądy boże.
 Otóż gdy taki obrót wzięła rada,
 To ja do zdania mojego sąsiada,
 Minawszy już grzech który zgubi duszę,
 To jeszcze dodać z konieczności muszę,
 Że od wojaczki wolni są mieszczenie,
 Tak w konstytucjach powiada pisanie.
 Znam Saxon, bracia! rzeczcież mi gdzie stoi?
 «Za sprawę kraju niech się mieszczan zbroi?»...
 Szlachcie należy wojowania słowa;
 Za to ma większe przywileje, prawa
 I rząd. Toż gdy jej niepilno do boju,
 Nam naszych rzeczy doglądać w pokoju,
 Jak przykazuje konstytucja nasza —
 Zresztą mieszczanin nie jest do pałasza.»

Lecz Bartek przerwał: «Zostaw waść to pole!
 Wy znacie prawo, a ja znam niedolę,

U różnych majstrów braliśmy nauki:
 Mnie łązy uczyły, was łąwnieze sztuki.
 Toż nieuczciwie sztucznych słów przecherà,
 W sumieniach braci gmatwać prawdę szczerą,
 Mędrkuj ty sobie w sądach i na ławie,
 Tu milcz! bo krzywd tych nie pisano w prawie!
 To zaś co grzechem wy mienicie u mnie,
 Szydłowski! z tem ja śmiało legnę w trumnie,
 Bo wiem że za ten grzech Święta królowa
 Najlepsze miejsce u Boga mi chowa.»

«Hejże na Lutra! hejże na załogę!»
 Śród młodzi głosy podniosły się mnogie.
 Ale w tem dzwonnik Nikburowicz wpada,
 I grabarz Trela — Dzwonnik wrzasnął: «Biada!
 Szwedzi rabują kościół Małgorzaty,
 Gdzie jest Szydłowski patron kolegijaty?»

«Jako? — śmieliby?» Szydłowski zawoła.
 A dzwonnik rzecze: «Wpadli do kościoła
 Z Florkiem; — dwa starszych przywiodło tę rotę,
 I nuż poczynąć djabelską robotę.
 Najpierw świętego Jakóba kaplicę
 Przetrześli. Florek z ołtarza zdjął świecę,
 I wszedł w grób, który Trela mu otworzył,
 Mówiąc, że tu ksiądz Kustosz skarby złożył,
 Pani Stannowej i podstarościego.
 Skarbów nie było. Szli więc do drugiego...
 Ten Florek, bogdaj zdechł ten szatan dumny!
 Kopał nogami naszych ojców trumny,

A z sarkofagu księdza Fuzorjusza,
 Zdarł epitafia łotr, — piekielna dusza!
 A co nas jeszcze nałżył, naprzeklinał...
 Jam go upominał, ksiądz go upominał —
 Aż jeden z starszych gniewem się rozpałił,
 I za kark Florka z kościoła wydalil.»

O! Jezus, Marja i pańscy anieli!
 Krzyknął Szydłowski — i to przy niedzieli!
 Ha! iście już Bóg swego gniewu skąpił,
 Gdy pod tym łotrem grób się nie rozstał.»

«Tak! odparł Bartek — tak mości patronie!
 O miasto wam lęk, że pożarem spłonie?
 O kościół pański strach wam że zaginie?!
 Jeszcze nic, — Szwed go znieważył już nimie!
 A co nie wyrznąć? — Stójcie! krótkie słowo;
 Nie idźcież! jeszcze mam ja piosnkę nową:
 Jużeśmy zbici, zdarci i żebracy,
 Nie nam z modlitwy, nie nam z naszej pracy!
 Jeszcze nam żołdak zbestwiony i srogi
 Pohańbi w krótcie zacne domów progi,
 Cześć żon i córek pod swe nogi rzuci;
 Miasto zostanie... kto wam cześć powróci?!»
 Umilkł i usta wykrzywił do śmiechu,
 Reszta słów w krótkim pochłonał oddechu,
 Ale w tem stary Szydłowski zawoła:
 «Trela, — hej! dzwonnik, chodźmy do kościoła!»
 «Co tam pomożesz? Bartek mu odrzeczę,
 Czy psem u proga legniesz tam człowiecze,

By warczyć i gryść gdy się wróg przybliży?
 Zostań! Szwed pańskich nie lękał się krzyży,
 Kopnie cię nogą jak psa bez litości!
 Ha! Szwed u ciebie na wilję zagości, —
 W oczy ci zadrwi, gdy świętym opłatkiem
 Będiesz mu szczęścia życzył z przyszłym latkiem..
 O! święta panno z aniołami twemi,
 O! Kingo święta patronko tej ziemi,
 Rzeczcie wy starcom, co nożami straszą,
 Że chcecie boju — bo ta ziemia waszą!»

Pośród tej wrzawy wszedł niepostrzeżony
 Jacek, staruszek biały i skulony.
 Słyszając to, u drzwi stał o łaskę wsparty,
 I w Bartłomieja utkwiał wzrok otwarty,
 Jasny, a gdy ten ostatnie rzekł słowo,
 Zawołał Jacek: «W bój z świętą królową!...»
 O! dzieci, wielkie oglądałem cuda,
 Toć wierzę że dziś wszystko nam się uda!»

«Przebóg! to Jacek!» wszyscy zawołali, —
 «Wy tu?! my prawie już was opłakali,»...
 «Tu dziatwo, z wami, — jak widzicie zdrowy»
 I dodał potem: «Wracam z Częstochowy!...»
 Idźcież Szydłowski gdy was kościół woła,
 A wy zaś chmurne rozpogodźcie czoła
 Jak ja». — A gdy go obstąpili swoi,
 Zawołał Jacek: «Częstochowa stoi!»

Poszedł Szydłowski, ciż Jacka prowadzą,
 I na burmistrza miejscu za stół sadzą.
 Jacek tu niegdyś kupiec najcelniejszy,
 Był już najstarszym, i włos miał najbielszy,
 I cześć za prawość. Teraz, — to cud nowy!
 Przez szwedzki obóz przyszedł z Częstochowy.

I cisza, — ale Jacek wstał za chwilę,
 I uściskawszy Bartłomieja mile,
 Rzecz mu; — «Synu! niech ci Bóg pomaga,
 Słyszałem! — piękna w twem sercu odwaga!..
 Mnie trzeci tydzień od mego wychodu,
 Wiele zaznałem i głodu i chłodu,
 Bo kraj nasz pusty jakby cmentarz wielki,
 Tak w nim poniszczył Szwed dobytek wszelki.
 Co miast i włości pustką w gruzach leży,
 Kto nie oglądał sam, — to nie uwierzy!
 Bóg chciał, bezpieczne porzuciłem mury,
 Szedłem przez obóz i przez Lutrów chmury;
 Jestem tu. Wieczór działa grzmieć przestały,
 Zgliszcza się jeszcze z Częstochówki tłały;
 Noc przeszła w modłach, a nazajutrz rano
 Od Kordeckiego poddania żądano.
 O! nie zapomnę nigdy jego twarzy,
 Gdy z odpowiedzią wyszedł z refektarzy,
 I rzekł ją posłom, i wstąpił na wały
 Z krzyżem, ... wnet potem wszystkie działa grzmiały.

Gdy się to działo, — na wieży kościelnej
 Grała muzyka, jakby w dzień weselny,

Lub święto, cudnie wdzięczne symfonije,
 A tu latały kule jakby zmije.
 Zgroza! co szturm on pożał! Szwedom ludu!
 My stali ufni w moc bożego cudu.
 Kule widziałem co nam szkodzić miały,
 O mur odbite na Szwedów wracały,
 Niszcząc ich. Jedna przy niewieście padła,
 Kiedy dziecinę do kolebki kładła,
 I zgasła. Tako wrzał bój przez dzień cały,
 A wieczór znowu działa grzmieć przestały!...

Lecz Bogdajłowicz końca niecierpliwy
 Rzekł: «Tam was bronił sam Bóg — jakom żywy!
 Ależ nam rzeczcie, jak was łaska Boga
 Przewiodła zdrowo przez szeregi wroga,
 I jakoście się aż do nas dostali?»
 A stary Jacek tak powiadał dalej:

«Kilku nas starych obsiadło armatę,
 Kiedy ksiądz przeor rewidował czatę.
 Był z nim Zamojski miecznik, Piotr Czarniecki,
 Ksiądz Piotr Lassata i jeszcze ktoś świecki.
 Przystąpił do nas i z uśmiechem w twarzy
 Rzekł: «Cóż wy zdrowo wyszliście dziś starzy?»
 ««Zdrowo!»» odrzeklim. On stał, myślał chwilę,
 I rzecze do nas: ««Nie po waszej sile
 Ojcowie ten bój, a radbym was zbawić.
 Do prowineyała mam z listem wyprawić
 Ksiedza, toż i wy idźcie z nim ojcowie,
 Bo wam do szturmów niedomaga zdrowie.»»

I serca nam się jeły bardzo smucić;
 Jużesmy do nóg chcieli mu się rzucić,
 By nam dał zginać tu, a on nam powie:
 «Są u was dary tak cenne jak zdrowie.
 Ręk silnych brak wam — macie serca, dusze,
 Usta, — tych użyć na dobre ja muszę!
 Idźcie wy ojce każdy w swoje strony,
 Idźcie! — wzywajcie ludzi do obrony;
 Idźcie i mówcie coście tu widzieli,
 Mówcie, że z nami Marja i anieli!»...
 To rzekłszy dał nam święcone szkaplerze,
 I błogosławił w drogę wszystkim szczerze,
 A kiedy na dół spuszczano nas sznurem,
 Stańruszka, co tam mieszkała pod murem,
 Konstancja, nogi owiła nam w szmaty,
 I po za szwedzkie w noc przewiodła czaty.
 Tylem ja doznał Boga łask i cudu.
 Szedłem, i w drodze mówiłem do ludu...
 Słuchali i szli w bój»...

«A toż nie cudem

Bóg się niedawno objawił przed ludem?
 Zawołał Bartek. — Kilka niedziel temu,
 Siedm kulek piersi przeszło jednemu
 Z pancernych. Długo leży w krwi i kona,
 W tem szwedzkiej jazdy nadbiegła szkadrona;
 Patrzą, i zgroza zdjęła ich do kości,
 A więc dań wszyscy strzelili z litości,
 I polecieli. — Zachód już blisko,
 Wracają Szwedzi na to stanowisko,

Stanęli, dziwo! patrzy się szkadrona!
 On jeszcze we krwi tarza się i kona,
 Zwrócili; — strach ich poczał z pola gonić...
 O! bo znas ducha szablą nie wygonić,
 Ni kulą! I nam też Bóg przepaść nie da!
 Hej ojce! bracia! jutro w noc na Szweda!»

Stał i nalegał, przy nim młodzież cała
 Sciskała pięści i «na bój» krzyczała;
 Jacek zachęcał i ręką i głową,
 I wielka wrzawa wszczęła się na nowo.
 Nawet Stach Krawczyk choć pierwaj się puszył,
 Stanął przy Bartku, tak go Jacek skruszył.
 Już się Barycki o miasto nie trwożył,
 I Bogdajłowicz za tem się przyłożył,
 Kiedy wtem pośród zgiefku i okrzyków
 Podniósł się jeden z miejskich korzenników,
 Fryderyk, — tego dziad był Niemcem z rodu,
 Lecz on już całkiem przylgnał do narodu
 Polaków. — Ten dłoń teraz w górę wznosił,
 I panów mieszczan posłuchania prosił.
 A gdy ucichli skłonił się i rzecze:
 «Prawda! iż wielką mamy Boga pieczę!
 Lecz gdzie bój z siłą nierówną zachodzi,
 Bracia! i Boga kusić się niegodzi!
 Prawda! że taką rzecz nie miło zwlekać,
 Lecz zawsze radzę do wiosny zaczekać,
 Tak, gdy nas Swedzi, nie daj Boże! zbiją,
 Działwa i żony w lasy się ukryją,

A teraz , swedzkie co nie dotną noże ,
To mróz wytraci , albo głód przemoże.»

«Ot! rzekł Suczycki, — ot Fryc! mądra głowa!»

Ale Fryc ciągnął: «Panowie, dwa słowa!

Widzicie! trzeba nim się w czyn co ziści,

Mieć tego czynu pewność i korzyści.

Na cóż nam przeto wszczynać gwałt szalony,

Kiedy Sącz będzie i tak uwolniony.

A wiecie wy też co się w Kraśnie stało?

Tam Wojniłowicz wziął załogę całą,

Zabił Prackiego i tu się już zbliża.

A czy wy wiecie o wieściach ze Śpiża?

Tam nasz Starosta formuje piechotę,

A pan Kochowski będzie wieść tę rotę.

A Wąsowicze, a chłopów drużyna?

Wszystkie to wieści mam od Arjanina,

Tak! — lecz ja zwykłem chować wieści zawsze,

Aż chwile dla nich zdarzą się łaskawsze.

Teraz, gdy rzecz ma taki słuszny powód,

Podaję jako rady mojej dowód.»

«Słusznie Fryc mówi!» zawołali starzy.

A Bartek cały spłonął ogniem w twarzy,

Zgrzytnął, a potem pięść zacisnął silną,

«Oj Boże! jęknął, tożto im niepilno!»

I na ramiona gniewny rzucił odzież,

Wyszedł, a za nim wyszła wszystka młodzież,

Gniewna, i chmurna i pełna płomieni.

Wyszedłszy z Bartkiem, szeptali coś w sieni,

I wnet cechowi ani się spostrzegli,
Jako się młodzi po mieście rozbiegli.

A tam za stołem jeszcze Gil z ławnikiem,
I Jacek spory toczył z korzennikiem
O bój, Stanisław nie długo już bawił,
Poszedł za Bartkiem i resztę zostawił.

Odkrycie.

Już północ, — ogień w komilku się zarzy;
Basia usiadła, pogląda i marzy.
Kiedy stawiała dzban na lawatorze,
Dziadkowie dawno już spali w komorze.
Lecz znać do Maryi Panny się modlili,
Bo jeszcze dla niej klęcznik zostawili,
I zostawili koróneczkę dla niej,
By ją zmówiła do aniołów pani,
I lampę. Więc też Basia cicho wstała,
Wzięła korónkę i modlić się chciała,
Lecz się zwróciła do okna powoli,
Pogląda, szuka gwiazdkę swojej doli
Dumając; — i tak długo modre oczy
Bezwiestna w sinej topiła przeźroczy.
Odeszła; — dziwno! ta sama świetlica,
I lampa sprzęty te same oświeca,
I wszystko stoi tak jak dawniej stało,
A jej się wszystko piękniejszem wydało:
I rzeźby gładsze, i powały bielsze,
I twarze świętych w obrazach weselsze;
I nawet Chrystus klęczący w ogroju,
Mniej się na kielich skarży Bogu ojcu,

I święta Panna uśmiecha się do niej,
 I Kindze nie strach choć Tatar ją goni;
 Czar jakiś dziwny rozlał się tu w koło,
 Toż jej tak błogo, tak jej tu wesoło!
 Z jej ocz pól nieba wyziera od razu,
 Tyle w nich światła i szczęścia wyrazu.

W tem, znać po czole przebiegła myśl pusta,
 Bo się prześlicznie uśmiechnęły usta,
 I wnet radośna z dziwnem czuciem w łonie,
 Mirt i rozmaryn rwała w białe dłonie
 Z doniczek; potem lekko u zwierciadła,
 We włosy to mirt, to rozmaryn kładła.
 A gdy się lubo uśmiecha, gdy stroi,
 Cudny sen dusza z cicha sobie roi
 O nim, — o lubym, — ach! a co pomarzy,
 Jak twarz w zwierciadle odbite w jej twarzy.
 Upięła kwiatki, teraz składa dłonie,
 Kłania się myśląc: «Tak dziadkom się skłonię,
 Tak drużkom»...! Słucha, słyszy jakies tony,
 Niby muzyka, — niby mszalne dzwony.
 On z nią; — już idą, a przodem kapela,
 Skrzypki, bas, kobza i cymbał i żela.
 W koło znajomi we świątecznych szatach...
 Znowu stanęła i przybiera w kwiatach,
 Po chwili rzuca wszystko, — bo już nudzi...
 Takie to dziwne szczęście gdy się zbudzi.

Usiadła, głowę oparła na dłoni,
 W oczach myśl, myślą gdzieś daleko goni...

I posmutniała: W obcym kędyś kraju,
 Gdzie nie zna ludzi, mowy i zwyczaju.
 Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały
 Wschodzi, jak lampa z alabastru biały,
 A nad borami gęsta wisi para...
 Jezioro, — brzegi, ... tam domek Oskara!
 I widzi wszystko jak on opowiadał,
 Zna dom, jezioro, jodłę kędy siadał,
 Dolinę kwieciem ubarwioną świeżem,
 I bór którydy błakał się za zwierzem,
 I jar gdzie czysta jako łąza krynica,
 A w niej obojgu ich odbite lica.

Lecz zadumana rzekła wnet: «Mój Boże!
 Gdy mnie nie będzie kto babce pomoże?
 Kto dziadka głośnem zabawę czytaniem?
 Biedna ja! — biedni! jak my się rozstaniem?!»
 Żalem i płaczem wezbrało jej łono;
 Już przed nią stoi rówienniczek grono,
 Krewni, znajomi z miasta i po siołach;
 Wszystko gdzie była, ołtarze w kościołach,
 Obrazy świętych, gdzie składała modły,
 Miasto i drogi co na pola wiodły,
 I brzeg Dunajca, i błękit gór siny,
 I te od jodeł ciemne rozpadliny;
 To wszystko teraz niby płaszek rzesza,
 Chwyta się serca i na pierś się wiesza,
 Trzyma ją dziwnie i z nią razem szlocha:
 Jak ona wszystko, jak ją wszystko kocha?!

W dali podobny do gradowej chmury,
Mignął się Bartek smutny i ponury.

W łzach, ale już się marzeniem promieni:

«Może mnie kiedyś Bóg w jaskółkę zmieni;

Nieraz mi stara cyganka mówiła,

Że się ptaszyną dusza urodziła,

I gdy zateśkni, skrzydełek dostaje,

I może lecieć w jakie zechce kraje,

I niema dla niej ni gór ani morza,

Jeno niebios!... O! ja ptaszka boża!

Rzucę go... siędę sobie w ogródeczku,

Zaśpiewam dziadkom gdy będą w ganeczku,

I wszystkim naszym od serca zanucę

Ptaszyna! — i znów do Oskara wrócę.

Sni... lecz jej serce w sen miesza pytanie:

«Kogo ze swoich ptaszyna zastanie?..»

I smutna głowę do stołu pochyła:

Gdyby spoczynku, — gdyby drzymki chwila!

Przymknęła oczy i już snem oddycha.

Spiąc, jakieś słowa wymawiała z cicha:

«Rzna»!... nie wyraźnie z ust się jej wyrwało,

«Rzna... Oskar»... rękę zacisnęła białą;

Budzi się, budząc, w przerywanej mowie

Głośniejsze już słowo rzuciła po słowie.

Przetarła czoło...

«Mówił że ma panów

Srogich, tak, mówił — gorszych od szatanów.

Smutnym był, mówił, że się bardzo smuci;
 Mówił, że wojsko i króla porzuci
 Dla mnie... I myśli znów: «On takim panem,
 Kocha, i dla mnie chce zostać mieszczanem.
 Mówił mi»... Strasznie błyszczały jej oczy;
 Wstrząsła się, wstążka spadła z jej warkoczy
 Na pierś; lecz dalej przypomina, snuje:
 «Ha! on mnie mówił że mnie wyratuje
 Z krwi!» I stanęła dzika, odmieniona,
 I patrząc szeptą: «Ulica czerwona,
 Krew,... uciekają ludzie,... w dzwony wałą;...
 Ach!... nasze miasto Szwedzi rzną i palą!»
 I tchu jej brakło, i osłabła całkiem;
 Chciała iść, oczy migły strasznym białkiem.
 Chwiejąc się, rękę do Marji obrazu
 Podniosła; ręka opadła jak z głazu:
 «Ratunku Matko!» Nagle trupio sina
 Krzyknęła: «O! o! Marja mię przeklina!»
 I padła; lecz wnet z rękami u czoła
 Zrywa się i w głos: «Mord! — rzeź w mieście!» woła.

«Mord!» głos jej dziki rozległ się po domu.
 Porwał się ze snu Janusz jak od gromu,
 Zarzucił odzież, w pół Basię porywa,
 Za nim drząc wbiegła staruszka sędziwa;
 Lecz Basia z rąk się wydiera szalona,
 I «Mord! rzeź w mieście!» krzyczy w głębi łona,
 Lata po izbie, Janusz znów ją chwyta,
 Tuli i wstrząsa, i pieści i pyta.

Ona nie jeno jęczy nieustannie :
 «Mord! — rzeź!» i patrzy ku Najświętszej Pannie,
 I pokazuje obraz ręką siną,
 I drzy, a z ocz jej gorące łzy płyną.

Zmarszczył brwi Janusz, stał, nie myślał długo;
 Nóż porwał w jedną, strzelbę, w rękę drugą,
 Otarł pył, i proch obejrzał w panewce,
 I rzekł do babki: «Zostań ty przy dziewce,
 Ja wyjdę» Wyszedł, staruszka została,
 I tuląc Basię razem z nią jęczała.

Lecz wrócił Janusz: «Czy weszło w nią lichy?
 W mieście spią wszyscy i jak w grobie cicho;
 Ni psa na rynku, jeno tam w gospodzie
 Coś kilku naszych zasiadło przy miodzie,
 A ta mord wrzeszczy. Weź z wodą kropidło,
 Poświęć jej czoło, bo to snu mamidło.»

Lecz Basia nagle zasłoniła oczy,
 I jęła: «Dziadku! wam krew szyję broczy,
 Wy trup! Mnie Matka Boża duszę wzięła
 Z piersi; tę moją duszyczkę przekleła;
 Lampą mi ogień zapaliła w głowie
 Na rzeź. Idźcie wy, to wam Oskar powie
 Jak mnie. No chodźmyż — ach jacy wy trudni!
 Chodźmy, on na nas czeka tam przy studni»
 Chce iść; — ci zgrozą struchleli oboje;
 A stary Janusz załamał rąk dwoje,

Spłakał i jęknął głucho: «Moje dziecię!
 Tyle mojego było na tym świecie!
 Straszność mi Panie dotknął głowę starą!»
 Lecz wnet za rękę wziął ją: «Chodź ofiaro!»
 Chodź nawiedzona czartem, chodź ty sowo!
 Chodź! ludziom w karczmie krzycz: ogień nad głową!»
 Daremnie babka by został błagała,
 Daremnie Basia z rąk się wydźierała,
 Janusz ją silnem opasał ramieniem,
 I do gospody przeniósł ją podsieniem,
 Stał w drzwiach; «Bracia, hej! tu widzę rada?
 Milczcie no! teraz niech ta opowiada!»

Wnet go mieszczaństwo obstało kołem.
 On między niemi stał najwyższy czołem
 I bolem. Krótco powiedział rzecz całą,
 Jako usnęli, co się z Basią stało.
 Słuchali; mowy nie przerwał nikt z cześci
 Dla Basi, i dla Janusza boleści.
 «Teraz mów!» kończąc wstrząsł nią, że aż jęła,
 Z rąk się wyrwała starca i uknęła.

«Stójcie no!» — Jacek Janusza łagodzi —
 Niech z Bogiem duch się w dziewczynie odrodzi!»
 I robiąc nad nią prawicą znak krzyża,
 Sam do klęczącej Basi się przybliża.
 A gdy się wpatrzył, rzecze: «W jej żrenicy
 Czuć strach okropnej jakiejś tajemnicy;
 Coś wie; tu zgroza w duszy! to nie mary,
 Nie sny, tej głowy dotknął anioł kary.

Tu jakieś wielkie nieszczęścia nam grożą;
 Ona wie, lecz my dojdziem z wolą bożą.
 I zwolna Basię podniósł, ona wstała
 Cicha, i ręką szkaplerz pokazała,
 Który z Najświętszą panną z Częstochowy,
 Spadał u Jacka na żupan perłowy.
 Jacek zaś na to z cicha: «Czy widzicie?
 Mego szkaplerza nie lęka się dziecię,
 Ciągłe spokojna na świętość spogląda;
 Czystą jest, ale znać posiłku żąda.»
 Ręką więc dał znak tym co przy nim stali,
 By się do Basi teraz nie zbliżali,
 Zdjął szkaplerz, na głos poczał mówić «Ave,»
 I świętość zbliżał przed jej oczy łzawe;
 Nagle «O Marjo! ocuć ją!» zawoła,
 I szkaplerz Basi przycisnął do czoła.

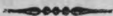
Drgnęła; — a gdy tak Jacek szkaplerz trzyma,
 W krąg zdziwionemi spojrzała oczyma.
 Znać że już duch w niej cudownie się budzi,
 Bo patrząc wszystkich poznawała ludzi.
 Po chwili senna, i jak posąg biała,
 Sama u czoła ten szkaplerz trzymała
 Lewą, a piersi ujęła w dłoń prawą,
 Jakby z nich chciała wydrzeć tę wieść krwawą,
 I przemówiła, lecz tak sucho — zgroźno,
 Że się mieszczanom w duszy stało mroźno:
 «Oskar mnie kocha!.. sam to mówił do mnie.
 Ja rzekłam, niechaj dziadków prosi o mnie.

Tuląc mnie, dziwa powiadał mi srogie,
 Tylko ja sobie przypomnieć nie mogę,
 Choć dzwonią we mnie jak pszczoły te słowa;
 Ach! bo też dziwnie słodka jego mowa...
 I uśmiechnięta stała jak dziecina;
 Lecz znać już sobie wszystko przypomina,
 Bo pokraśniała; wnet z dzikszym ócz blaskiem
 Rzekła: «Pojutrze, z pierwszym zorzy brzaskiem,
 Mówił, że trąbka na zamku uderzy,
 Podpalą miasto, i każdy z żołnierzy
 Ma was rznać; — ale ja się nic nie boję!
 Bo on ocali mnie i dziadków dwoje...
 A do mnie ciągle mówił: «Życie moje!»
 Mówił tak dziwnie słodko żem słuchała,
 I to co o was mówił, przepomniła...
 Za to mnie Matka boża duszę wzięła
 Z piersi, i moją duszyczkę przekleła!»
 To rzekłszy jęła gwałtownie i zbladła,
 I w ręce Jacka zemdlona upadła.

Śmierć była w izbie. Basi dzikie słowa
 Pęły nad nimi jak wieść piorunowa,
 Którą w dzień sądu struchlałemu światu,
 Zagrzmią anioły na chmurach z szkarłatu.
 Bez myśli, bez dusz stoją skamienieli,
 I topią oczy w jej oblicza bieli,
 Niemi jak z grobów wyrzucone maryl,
 A najokropniej bolał Janusz stary.
 Ale się pierwszy ocknął: «Rzeź! słyszycie?
 Ha! to kark za kark, a za życie życie!

Zbudźcie się! nie czas teraz do frasunku,
 Bóg dał rąk dwoje, — myślcież o ratunku!
 Tu śmierć tak stoi że jej nie ominąć,
 Jeno nam wyrznąć Lutrów albo zginąć.
 Ha! ciężko mnie Bóg zgłębił tą ofiarą,
 Lecz mi we dwakroć umocnił dłoń starą!»

Jacek zaś Basię trzymając rzekł na to:
 «I wyrzniem Lutrów, ja wam ręczę za to!»
 Więc Janusz znowu: «O! jeszcze nadzieja!
 Niech kilku spieszy szukać Bartłomieja,
 Do Marcowicza niech się kilku ruszy,
 Bo i to człowiek w ogniu kutej duszy.
 Wy reszta w ciszy wracajcie do domu,
 Ale sza! słowa nie pisać nikomu.
 Bogiem niech każdy serce uspokoi,
 I czem na jutro niechaj pięś uzbroi.
 Lecz bracia! milczeć—milczeć przy niewieście,
 Bo by nam krzyku narobiły w mieście;
 Ja moją Basię wezmę do kościoła.»
 Szli więc do domów, nasrożywszy czoła,
 Chmurni, a Janusz Basię w płaszczy obwinał,
 Wyszedł i we drzwiach kolegaty zginął.



R z e z.

Wieczór się zbliżał; niebo jasne, czyste.
Na Tatrach słońce stało ogniste,
I ogniem spłonął Tatrów łańcuch biały.
W ogniu Dunajca ścięte w lód krzyszały,
Baszty, i wieże i obronne mury
Świeciły blaskiem wieczornej purpury,
W borach mrok siadał. Tak się z dniem żegnało
Słońce malując okolicę całą,
I zaszło. Tatrów królewna, Łomnica,
Sama słoneczne zachowała lica,
Ale wnet senna zsiniała i zbladła,
I noc na miasto i na góry padła:

Ledwie promienie zgasły na Łomnicy,
Dzwon z kolegiackiej ozwał się wieżycy,
I jęły wszystkie dzwony po klasztorach,
Smętne ich głosy płynęły po borach,
Turniach i skałach wzdłuż Dunajca brzegu,
I aż ku Wiśle w dal łaunami śniegu.

Właśnie szedł z Jackiem Janusz od kościoła.
Stanęli, kornie pochylili czoła

Przy «Ave»; potem krzyż zrobiwszy dłonią
 Rzekł Janusz: «Hej — hej! w całej Polsce dzwonią!...
 Zda mi się że w niej wszystkie dzwony słyszę,
 Taką przecudną Bóg dał na noc ciszę.»
 I tak ze sobą rozmawiając dalej,
 Do węgierskiego muru się zbliżali,
 Gdzie z baszt broń straszna błyskała: organki.
 Otwarte stały kutej bramy szranki;
 Tędy straż czeladź puszczała po siano,
 Które w stodołach za miastem składano
 Od ognia. Tłumnie szły po siano dziewczki
 Smiejąc się, albo w głos zawodząc spiewki.
 Szwedzi zaś, którzy mieli w bramie straże,
 Przejść im wzbraniali groźnie srożąc twarze.
 Lecz dziewczki pewne że to tylko żarty,
 Chórem się z szwedzkiej naśmiewały warty,
 Prosiły; ale wnet wolnym przesmykiem
 Wszystkie do stodół poleciały z krzykiem.

Jacek to widząc zauważał z cicha:
 «Baccie no! Szwed się nie spodziewa licha.
 A czy widzicie? tam konne patrole,
 Sam Sztajn na objazd wyprowadził w pole.»
 Ale w tem Janusz Jackowi dłoń ścisnął:
 «Jacku patrz! płomień na Morgani błysnął.»
 Ogień rósł; góry, doliny i lasy
 Groźnej w płomieniach nabierały krasy.
 Wszystkie oblązy, wzdłuż Dunajca brzegu
 Do pół czerwone wyrastały z śniegu:

«Ha! to znak Bartka! rzekł Jacek, ja spieszę
Do Marcowicza; — on już zebrał rzeszę.»

Odszedł, a Janusz patrząc na płomienie,
Wszedł między Szwedów na bramne podsienie
I rzekł: «Panowie Szwedzi aj! figlarze,
Straszą dziewczęta; figlarze Bóg karze!»
Śmiejąc się dodał. Szwedzi radzi temu,
Odpowiadali żartami staremu.

Lecz w tem od strony ogniowych sygnałów,
Gruchnęło kilka oddalonych strzałów.

Gdy straż broń chwyta, baczac co to znaczy,
Janusz pośrodku stanął i tłumaczy:

«To nie! — widzicie, — w naszym górskim kraju
Wypalać płonie mamy we zwyczaju,
Bo w popielisku po deszczu we wiosnie,
Trawa i pasza we dwójnásób rośnie.
A ten huk, który strzałem się wydawa,
To djabła z wichrem po skałach zabawa;
Jodły on z takim wywala łomotem.

Wierzcie mi, ja z tym obeznany grzmiotem.»
Broń więc złożyli, ufni starca słowu,
I rzekli że chcą dziewczki straszyć znowu,
A Janusz rady że baczność rozegnał,
Grzecznie się w bramie ze strażą pożegnał,
I szedł do domu.

Na skrócie przesmyka
Nikburowicza przydybał dzwonnika.

Ten stanął, i chciał znów pełen frasunku
 Mówić o Florka wczorajszym rabunku,
 Ale mu Janusz nie dał przyjść do słowa,
 Mówiąc: «Dzwonniku! o tem później mowa.
 Teraz niech wasze idzie na dzwonnice,
 I czekać!» — Rzekłszy zwrócił się w ulicę
 Do dom. I cisza powróciła w mury;
 W dali gorzały niebios a i góry.

A tam przed kruchą kolegiackiej fary,
 Siedział skulony Piotr zakrystjan stary.
 Siedział, i marsem u nagiego czoła
 Zabraniał ludziom wstępu do kościoła.
 Lecz przez otwarte na oścież podwoje,
 W głębi przy świetle widać ludzi dwoje.
 Ksiądz przed ołtarzem stał, przed nim klęczała
 Dziewczyna w modłach zatopiona cała.

To Basia! — Głuchy spokój u jej czoła,
 Smętna jak nocna ponurość kościoła;
 Przed nią w komeszce kapłan białowłosy
 Stał z wzniesionemi oczyma w niebiosy
 Modląc się. W koło ołtarze i groby,
 Blask lamp i cisza, noc i duch żałoby,
 Oblatujący kościelne sklepienie,
 Ciemne, jak Basi łzawych ocz spojrzzenie.
 Jej twarz wybladła lampy blask ozłaca,
 Gdy klęcząc oczy do kapłana zwraca.
 Przytomna, lecz tak zniszczona w tej burzy,
 Że każde tchnienie, każdy szmer ją nuży,

A kiedy westchnie, to widać z jej twarzy,
 Że o głębokiej jakiejś ciszy marzy.
 Babka ją Kindze poleciła świętej,
 Gdy ten czar straszny z jej duszy był zdjęty.
 Janusz miał przywieźć z Krakowa dwa wota,
 Głowę ze srebra i serce ze złota.

Ksiądz Kustosz nad nią uczynił znak krzyża,
 A ona wstała, drżąc się przybliża
 Do starca, i dłoń jego z cześcią ima;
 Tak stali chwilę z łzawemi oczyma.
 Ale ksiądz począł: «Basiu! biedne dziecię,
 Dwie was jak córki kochałem na świecie:
 Jaśnie wielmożną Stannównę, ta Bogu
 Ślub uczyniła na klasztornym progu;
 I ciebie Basiu! uczyłem was obie;
 A ty... inaczej myślałem o tobie.
 Lecz nie drzyj! — dodał z łagodnym uśmiechem,
 Tyś nie wiedziała jakoś żyła grzechem,
 I niespodzianie padł na cię dzień kary;
 Wstałaś, — wróć że mi w życie pełna wiary.»
 A Basia na to: «Cała'm piersią żyła.
 We mnie nic ojczy! — przedemną mogiła;
 Serce Bóg rozdarł, ogień spalił głowę,
 I jak mi teraz począć życie nowe?
 Wszystkom straciła, prócz kilku pamiątek;
 Nie mam nic co bym wniosła na początek,
 Na dzień, na pół dnia, na godzinę jedną,
 Nie mam gdzie oprzeć moją duszę biedną,

Jak ziemia wielka!... Tu mowę przerwała,
 Patrzy na księdza cicha, smutna, biała;
 Wzrokiem go pyta. Ksiądz nie odpowiada,
 Tylko jej smutku głębiej w oczach bada.
 Więc znów poczęła sama: «Przeszłam tyle!
 Wiek innym nie dał ojciec! co mnie chwile.
 Ja już nie zdołam na świecie się nużyć,
 Lecz mogę i chcę ojciec — Bogu służyć!...
 Znam pannę Zofię — Starościanka Stanno
 W klasztorze, — da Bóg! będzie starszą panną,
 Ale i ona smutną dolę miała!...
 Może i dla mnie jest tam celka biała,
 Może mnie przyjmą za twojem wstawieniem,
 Dziadkowie moi nie pośledni mieniem,
 Me wiano chętnie ofiarują Bogu,
 Gdy ja ślub złożę na klasztornym progu.
 A zresztą, — sam mnie ćwiczyłeś w nauce.
 Nieuctwem ojciec ja ich nie zasmucę;
 Są tam panienki i z mojego stanu,
 Mój ojciec zrób to! — daj mi służyć panu!»

Ksiądz Kustosz smutny pogładził jej lica:
 «O! niepoprawna z ciebie żalobnica!
 Klasztor? obaczmy co ci Bóg przeznaczy;
 Może to, może zarządzi inaczej.
 Obaczmy; — lecz ty nieważ się wyrzekać,
 Bo wielkiej łaski dał ci Bóg doczekać!
 Ocuć się dziecko! tyś od niebios Pana
 Na ocalenie miasta jest wybrana.

Zbudź się! i radość niech w twem sercu gości,
A wyrzecz się tej dla Lutra miłości!»

Wstrząsła się Basia, oczy w górę wzniosła,
Patrzy w krzyż, w oczach jej dusza urosła;
Blask miała w twarzy, i tak odmieniona
Wzięła krzyż, potem z całej głębi łona
Rzekła: «Ja ojcie Lutra się wyrzekam!»
Kłękła i ciszej: «Ojcie! rady czekam!»
A kapłan na nią położył ręk dwoje:
«Córko, ja życie błogosławię twoje!
Bądź mocną! ludzie co śmierci uciekli,
Błogosławieństwo przezemnie ci rzekli.
A tak gdy szczerze żałujesz za grzechy,
To wiedz, że we łzach jest źródło pociechy.
Płacz, módl się córko, Bóg wszystko przebaczy»..
Wtem dzwon uderzył — raz — dwa —

«Co to znaczy?»

Powstała, słucha, już grzmiały wszystkie dzwony.
Spojrzała; — w okna bije blask czerwony:
«Gore?!»... Ksiądz milczy.. «Ojcie! czego dzwonią?»
Blask rośnie; ona wzrok zakryła dłonią,
Słucha, — jęk każdy serce jej rozdziera;
Chwieje się: «Ojcie ach! tam ktoś umiera,
A dusza z ciała wylecieć nie może!»
Wtem kapłan ukląkł przed ołtarz w pokorze,
I podniósł ręce w górę. Na oblicze
Biło mu z okien światło tajemnicze:

«Dzień sądu! — szeptał — i lud mój zbawiony!»
 Dziewcze się w starca patrzy, jęczą dzwony,
 A coraz mocniej blask uderza w oczy;
 Za ścianą słychać tłumnie lud się tłoczy,
 Szczęk broni, potem jakiś krzyk od wałów,
 Potem zagrzmiała nagle salwa strzałów.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła;
 Bez tchu stanęła już we drzwiach kościoła,
 Jękła boleśnie i na miasto goni,
 Kędy blask łuny i szczęk słychać broni.

W mieście bój. Z straszną halebardą w dłoni
 Pisarz Suszycki wprost na Basię goni.
 Wzrok jego dziki, przerażone lica,
 Przez plecy wiszą szabla i rusznica.
 Spiesząc tak, Basi białą postać zoczył,
 I jak od widma w stecz dwa kroki skoczył;
 Aż ochłonawszy zawołał: «Tam w bramie
 Bartek z czeladzią Szwedom karki łamie.
 Od stodół, — siano moje tam podpalili!
 Za dziewczętami wpadł i straże zwalił.
 Zginą tam! — lecz ja, — niech ich biorą czarty!
 Nie pójdę, — Basiu! kościół czy otwarty?»
 Lecz na pytanie pisarzowe głucha
 Basia ucieka dalej i nie słucha!

A tu w ulicę kobiety i dzieci
 Cisną się; wszystko do kościoła leci.

Gadowiczowa na głos opowiada,
 Że już Wąsowicz z góralami wpada.
 Ich krzyk o mury dziko się rozbija,
 Ale ich Basia niepozna je, mija,
 I leci. Przed nią kilkunastu z bronią
 Z doboszem miejskim ku rynkowi gonia.
 Basia za nimi; — już ujrzała rynek,
 Ratusz, gdzie stają mieszczanie w ordynek
 Zbrojni. Marcowicz burmistrz stał na przodzie,
 Dał znak i cały oddział już w pochodzie.
 Tylko Stach Krawczyk nie stanął do frontu,
 Jenó pod połą coś krył na kształt lontu,
 A gdy Marcowicz wiódł w zamkową stronę,
 Stach się na niebo obejrzał czerwone,
 I zniknął. Basia chwilę się wstrzymała
 Błada, płomieniem ozłocona cała.
 Na śniegu widać krew, szwedzkie tułowy
 Leżą; — tym piersi strzaskano, tym głowy.
 Znać, jako z domów na alarm wybiegli,
 Tak pod ciosami mieszczan pierwsi legli.
 Ale ta śmierci zgroza dla niej niczem.
 Ona z zwróconem w płomienie obliczem
 Stoi, i zda się że czeka skinienia,
 Od bijącego w niebiosą płomienia.

Nagle ją z tego zapatrzenia budzi
 Krzyk, i przy domu narożnym tłum ludzi.
 Wielogłowskiego arjana mieszkanie,
 Z Januszem starsi napadli mieszczanie

I wynosili szable, strzelby, piki.
 Basia raz na nich rzuciła wzrok dziki,
 I jak spłoszona gołębica biała,
 Ku młyńskiej bramie z rynku poleciała.

Jeszcze daleko od niej młyńska brama.
 Ulica długa, noc, a ona sama
 Leci. Na prawo słyhać bój się wzmacza,
 Ale w niej jakaś nadludzka odwaga.
 Padają strzały, kule ryją w śniegu,
 Słyhać szczęk, lecz nic nie wstrzyma jej w biegu.
 A wtem przy stodół czerwonych płomieniach
 W prawo tłum zbrojnych obaczyła w cieniach
 Kościoła. Kościół był świętego Ducha.
 Dwoje dział ogniem na na czarny tłum bucha
 Z muru; — ale ci, zbrojni siekierami,
 Rąbią mur; w środku husarz ze skrzydłami
 Jak anioł ognia połyskuje w stali,
 Był to Wąsowicz z oddziałem górali.
 I właśnie Basia w tej chwili nadbiegła,
 Gdy się od siekier rozprysnęła cegła,
 I tłum z ognistym aniołem na czele,
 Wpadł na zamkniętych Szwedów przy kościele,
 Na cmentarz. Ale Basia nie nie zważa
 Na jęki za nią lecące z cmentarza.
 Biegnie i oczu o nic już nie pyta,
 Sercem przeczuwa, sercem wieści chwyta.
 Wie gdzie jest Oskar i wie że on żyje —
 Życ musi, bo jej serce dotąd bije;

Zmilkłoby gdyby on padł... «Paść nie może,
 Pokąd ja przy nim głowy nie położę!»
 W to jeszcze jedno teraz dziewczę wierzy,
 O reszcie nie wie nic i dalej bieży.

Łuna szeroka, ponad łuną dymy.
 Mur, bramne baszty, dwa czarne olbrzymy,
 Znakami, jakby podwójnem ramieniem,
 Wieją nad bitwą w dole i płomieniem.
 A pod murami na iskrzącym śniegu
 Ujrzała Basia w scisniętym szeregu
 Szwedów. Tam Oskar mignął się w przyłbicy
 Z mieczem świecącym na kształt błyskawicy,
 Owiany dymem rotowych wystrzałów.
 Wtem widzi, — z Bartkiem młódź wpada od wałów
 Jak lwy, a w górze nad młodzią przyświeca
 Bartkowa barda, na kształt półksiężyca.
 Krawczyk zaś jak czart po murach się zwija,
 W ręku mu syka lont jak kręta zmija,
 I grzmią co chwila Szwedowi organki,
 A mur w ogniste ubiera się wianki.
 Widzi to Basia i błednie jak mara,
 Leci i krzyczy gdy ujrzy Oskara,
 Milknie, gdy Oskar pośród tłumu znika;
 Na strzał już tylko od niej bitwa dzika,
 Lecz w tem z furmańskiej ulicy wypada
 Marcowicz, a z nim mieszczanów gromada.

Złamało Szwedów burmistrza natarcie;
 Złamani, w kupach biją się zażarcie.

Przez tłumy Basia przecisnąć się stara,
 Tam gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.
 Raz jeszcze trąbka wezwała w ordynek,
 Lecz darmo; musiał Szwed zwieść pojedynek
 O śmierć. I każdy swego tam znajdował:
 Burmistrz trębacza szablą w kark ugodził,
 Szydłowski strzelca w łeb uderzył młotem,
 Gilowi sierżant piersi skłuli brzeszczotem;
 Tego szewc Cyrus przebił halebardą.
 Bartek rajtara szwedzkiego ściał bardą,
 A Olexowicz zranił muszkietiera;
 Pijanowskiego gdy muszkiet odbiera,
 Trącił Jameński, wziął broń i wypalił.
 Bartłomiej znowu chorążego zwałił,
 Gadowicz szweda zadławił kułakiem,
 Browarnik walczył zaś ogniowym hakiem,
 A wśród nich Basia jak widmo rozpaczy
 Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.

Już Bartek krwią się po ramiona zboczył,
 Gdy wtem Oskara blisko siebie zoczył.
 «Miejsca! zawołał — precz! ten smukły gaszek
 Dla mnie! odstąpcie wy, ha! to mój ptaszek!»
 Oskar to słysząc przez tłum się przeciska,
 I mieczem kręcąc nad głowami błyska;
 Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
 Reszta zaś dla nich uczyniła koło.
 Trzykroć w tym boju darmo się szukali,
 Ale już teraz w obec siebie stali,

Gniewni obadwaj, odważni i mściwi,
 I tej z pod serca krwi jednako chciwi.
 Oskar miecz, Bartek silniej bardę ima,
 A powitali się najpierw oczyma.

Pierwszy ciał Bartek, ciał jako w świerk smukły,
 I Oskarowi zagiał hełm wypukły.
 Oskar się zachwiał, ciał, i gniew go pali,
 Bo miecz spadł tylko na bardę ze stali.
 I tak wśród widzów co chwila cios nowy
 Szukał u obu to serca to głowy.
 Oskar zręczniejszy, ten silniejszy dłonią,
 Zwijał okrótnie swą ciesielską bronią.
 Szczęk tylko głucho przerywał milczenie,
 A oświecały ich stodoł płomienie.

Już Bartek Szweda w głowę ciąć zamierzył,
 Lecz przeraźliwy krzyk w tem go uderzył.
 Wstrzymał cios; Basia przełęczniona zbladła,
 Z krzykiem na piersi Oskarowi padła,
 I topiąc w Bartka dzikie oczy swoje,
 Na hełm Oskara rąk złożyła dwoje.
 Wzdrygnął się Bartek; — ona mu oczyma
 Zakłęła rękę i w górze ją trzyma;
 Pobladł i na bok cofnął się z siekierą,
 Lecz w tem się inni do Oskara bierą.
 Natarli, on stał, lecz słabo się bronił;
 Więc Bartek własną bardą go zasłonił,
 I do mieszczanów obrócił się z krzykiem:
 «Stójcie! on jutro będzie katolikiem,

Dla niej; — ja ręczę!»...

Lecz Krawczyk ponury

Z rusznicą w ręku patrzył na to z góry:

«Bredzisz! Szwed zmija!» zawołał i zmierzył,

Padł strzał, — strzał w serce Oskara uderzył...

On padł.

W krew Basia wpatrzyła się blada,

Sama przy piersiach trupa cicha siada,

Padła... Tak kosą ścięta lilja pada.

Porwał ją Bartek w ramiona; «Nie żywa!»

Twarz senna, — w splotach włosów na pierś mu spływa.

Patrzy w nią; jeszcze krasne usta miała,

Kędy skrzydlata dusza uleciała

W skonaniu... U nóg jego barda leży,

W koło bój — lecz on do boju nie bieży.

Zapomniał gdzie jest; szczęk oręży, kule,

Jęk rannych, wszystko przyjmuje nie czule.

Nie wie nic, tylko że ją w rękach trzyma,

Że mu umarła już, i że już jej nie ma

Nigdzie dla niego! — i nic jak szeroki

Świat! taki w sercu poczuł ból głęboki.

W tem Janusz stary nadszedł niespodzianie,

A z nim Wąsowiez, górale, mieszczanie.

Janusz skamieniał bolem widząc Basię;

Zatopił oczy w jej śmiertelnej krasie,

Z ręki mu szabla wyleciała krzywa,

Od zgrozy twarz mu zdziczała sędziwa,

I jęknął: «Boże! to ostatnie moje!» —
 A Bartek odrzekł: «Ha! moje i twoje!»
 Nagle, jak by się obudził od grzmotu,
 Spojrzał; — Szwed w chłopa mierzył z bandelotu,
 Więc Januszowi Basię zdał pomału,
 Odrącił chłopa, stał i czekał strzału.

Szwed chybił. Bartek porwał bardę z ziemi,
 «Czekaj psie!» wrzasnął piersiami całemi,
 I gdy Szwed sięgał po nabój w kartuszę,
 Wleciał nań cieśla jakby czart na duszę,
 I ciał, że z karku odskoczyła głowa.
 Krwi go oblała struga purpurowa,
 Lecz on nie syty tej krwi w dzikim szale,
 Wpadł między Szwedów, a za nim górale
 Z kosami, ale barda tam rej wodzi:
 Co chwila krwawym półksiężycem wschodzi;
 Tak śród kós i śród góralskich toporów,
 Sunie z nią jak świerk, wyniosły król borów,
 A kędy ramie niby gałęź przegnie,
 Słychać jęk, potem ktoś w ciemności legnie,
 I głuchym szczęką chrzęśnie zbroja cała
 Nad piersią, która żyć i czuć przestała.

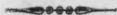
Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały,
 Organki Stacha jeszcze raz zagrzmiały,
 Dym buchnął i Stach zniknął w dymu kłębie,
 A ostatniego Szweda Bartek rębie.
 Nikt nie poprosił, nikt nie dał pardonu;
 W niebo powrócił cichy anioł zgonu,

I wszystkie dusze w ręce oddał Panu,
 Jakoby kłosa wybierane z łanu.
 Zdjął też i lilję ze skrzydełek jedną;
 Białą, prześliczną Basi duszę biedną,
 A dając Bogu prosił za nią: «Panie!
 Ta lilja niech się anioleczką stanie!»

Radość zwyciężkie krasila oblicza.
 Wszyscy stanęli w koło Wąsowicza,
 A ten im począł: «Opowiem staroście,
 Jakoście dzielnie bili się waszmoście!
 Imieniem króla, górą Sądeczanie!»
 «Górą Wąsowicz! krzyknęli mieszczanie, —
 Górą Wąsowicz, z bracią góralami
 Górą! Jan Kazimierz znów królem nad nami!»
 Na to Wąsowicz dziękując odpowie:
 «Dzielniście! ale jak mi miłe zdrowie,
 Niema nad cieślę Bartłomieja chwata;
 Pójdź waśc niechaj cię uściskam jak brata!»
 I gdy się husarz z mieszczanem ściskali,
 «Górą Bartłomiej!» wszyscy zawołali,
 I trzykroć w górę orężę podnieśli
 Wołając: «Górą sławna barda cieśli!»

Właśnie już Bartek bardę z krwi ocierał;
 Stał i spokojnie do koła spozierał,
 Potem zdjął czapkę i rzecze: «Cześć Bogu!
 Że tak się naszych krzywd pomścił na wrogu:
 Nam się to bracia jutro dostać miało;
 Dał Bóg — dziś Szwedom od nas się dostało.

Więc Panu najpierw, — potem ludziom dzięki!
 Równą tu pracę miała każda ręka;
 Każdy się równo wsławił dziełem krwawem.»
 To rzekłszy z oczu łzy otarł rękawem.
 Ale wnet dodał: «Szkoda czasu psować,
 Tam ogień, — chodźmy do ognia ratować,
 By nam co jeszcze z domów nie zgorzało».
 Poszli więc za nim w ogień rzeszą całą.



Trumna.

Ciesielską izbę ozłociło rano,
A Bartek ciosał trumnę modrzewianą;
Ciosał sam w cichej, głębokiej bolesti.
Czeladź swą w miasto rozślał po wieści,
Kiedy w tej pracy wyręczyć go chciała,
Bo to dla Basi ta trumienka biała.

I znać że piękną Basi trumna będzie;
W koło warsztatu przeróżne narzędzie,
Piły i hyble, siekiery i dłuta —
A część już spodnia gotowa i skuta,
Biała z modrzewia, jakby zlana mlekiem;
Bartłomiej jeszcze pracował nad wiekiem.
Lecz jakiś straszny spokój w jego twarzy,
Wzrok mu się dziko, beznamiętnie zarzy;
Kamieniem twardym stanął na swej doli,
Serce mogiłą, — ale jeszcze boli;
Okropne piekło jeszcze w sobie chowa,
A nad niem pamięć jak lampa grobowa.

Warsztat na środku, po ścianach obrazy;
Sciel odpowiada echem ciężkie razy

Klinów lub dłuta; — barda szczeka smutnie,
 Kiedy nią w deskę modrzewiową utnie;
 Ona hełm tłukła, a teraz się żali,
 Jakby tam serce drgało w twardej stali.
 Toż Bartek, jakby zląkł się tego jęku,
 Bardę w pół ciosu zatrzymuje w rękę;
 Patrzy i bolem omamiony słucha,
 Czy jęk ten z bardy czy z serca mu bucha?
 Wnet silniej w dłoni toporzysko ścisnął,
 Ciął, i oczyma ponuremi błysnął
 W zgrozie: ... Ach! wszystko co serce kochało,
 Co pierś żywiło, w duszy urok miało,
 Wszystko w tej białej trumnie się zebrało!

I stanął; — znowu deski okiem mierzy,
 Myśli i w własne nieszczęście nie wierzy;
 Porywa bardę, puszcza ciosów mnogo,
 Jakby już o tem zapomniał: — dla kogo?
 Ale po chwili musiał w pracy przestać,
 Bo oczom światła, ręce siły nie stać
 Dłużej, tak boleść piersi mu szarpała,
 I tak pod ręką rosła trumna biała.
 A gdy urosła, przeklął dzień rzemiosła,
 Pierś mu się ciężkiem westchnieniem podniosła:
 «O! chciałem, rzecze, inny dom postawić,
 Ha! lecz Bóg nie chciał ręce błogosławić,
 I stał się Basiu ze mnie cieśla lichey,
 I wyciosałem ot ten domek cichy»...
 Spłakał, serce mu czarną krwią nabrzękło,
 Tłukło się dziko o pierś, lecz nie pękło;

Po chwili kredą znak na desce zrobił,
Wziął dłuto i wierzech krzyżem przyozdobił.

Skończył i wieko do trumny przyłożył,
Oglądał; wieko od trumny otworzył,
I zatrzymywał wzrok nad każdą fugą,
Potem w głąb trumny wpatrywał się długo.
Wzdrygnął się nagle, oczy zakrył dłonią;
Jakby nad straszną obaczył się tonią;
W duszy pogrzebne zagrały mu dzwony,
I własną swoją pracą przerażony
Jęknął: «O Boże — Boże! już gotowe
Wszystko!» — i dłońmi mocno ścisnął głowę.

W izbie się potem obejrzał do koła,
Rękę przycisnął do wrzącego czoła:
«Gdyby krwi śladów na bardzie nie było,
Myślałbym, że to wszystko mi się śniło:
Ten bój, — to Basi nieszczęsne skonanie...
Wielkie tu dzieło poczęło się Panie!
I pójdzie dalej co gromem się stało;
A w mojej piersi tak strasznie gorzało!
Teraz? — o! ciche moje serce w sobie.
Cicho tak będzie tam we świeżym grobie,
Kiedy w nim złożą moją Basię biedną;
Ten grób a serce moje — oj! to jedno.»

W tem Janusz z Jackiem weszli, i u proga,
Powitał Jacek cieślę w imię Boga;

Nadszedł Gadowicz i patron Szydłowski,
 Potem Jameński wszedł i Pijanowski.
 Ci dwaj na siebie poglądają wrogo,
 Bo sobie uraz zapomnieć nie mogą.
 Wszedł Olexowicz z rynku; — za nim wchodzi
 Tłum podhalanów i mieszczańskiej młodzi.

Milcząc Bartłomiej powitał Janusza.
 Spojrzeli; obóm z ócz mówiła dusza.
 Tak chwilę patrząc w obec siebie stali,
 A potem sobie obaj dłoń podali.
 I całe krwawe dni ubiegłych dzieje,
 Radość zwycięstwa, stargane nadzieje,
 I ból znać było w tym jednym uścisku,
 I w wyrazistym szczerych spojrzeń błysku.
 «Cóż babka?» Spytał Bartłomiej po chwili.
 Janusz mu odrzekł: «Niech ją Bóg posili!
 Jak dziecko stała się nieutulona.
 Ze sąsiadkami w domu moja żona.»

Potem przybyłych wszystkich Bartek witał,
 Sadzał i prosił, i o wieści pytał.
 A gdy zasiedli, on sparł się na trumnie,
 I raz się w koło obejrzał tak dumnie,
 Jakby świat cały miał pod swoją ręką,
 A ten świat białą kończył się trumienką.
 Wtem rzekł Gadowicz: «Idziemy do bramy,
 Już dzięki Bogu i starostę mamy;
 Witaliśmy go setnemi okrzyki.
 Ma on ze sobą Nawojowców szyki

Dzielne, nie takie jak te szwedzkie zgraje.
Marcowicz właśnie zamek mu oddaje».

«Ale Szuszycki, przerwał jeden z młodzi,
Po mieście teraz jak otruty chodzi.
Chciał do Starosty w bramie począć mowę,
Lecz tak od wczoraj jeszcze stracił głowę,
Że tylko gębę jak gawron otworzył,
A w tem Staroście burmistrz klucze złożył.»

«Florka złapano Olexowicz rzecze,
Ho! już nam teraz ptaszek nie uciecze —
Przed sąd i pod miecz!»

«Ja także mam sprawę,
Rzekł Pijanowski, i to o niesławę.
Jamański! ja wam mężstwa nie odmawiam,
Ale przed sądy wójtowskie was stawiam.
Padł Szwed, — ja chciałem broń porwać w tej chwili,
A wy mnie na bok jak psa odtrącili.»

«Zgodźcie się bracia!» Bartłomiej zawoła.
«Zgodźcie się — zgodźcie!» zagrzmiało do koła.
I potąd wszyscy na nich nalegali,
Aż się obadwaj sporni uściskali.

Szydłowski widząc że Bartek ponury,
Chciał mu rozpędzić z czoła owe chmury,
I począł: «Wiecie co się z Stachem stało?
Całkiem Krawczyka osmaliło działo.

Leży Stach czarny jakby smok wawelski,
 Klnie Szwedów i ów w dziale proch diabelski,
 Który pękł, kiedy Stach działo podpałił,
 Rzucił Krawczykiem o ziem i osmalił.
 Długo tak leżał samotny na murach,
 Czarny, w okropnie czarnych dymu chmurach.
 I długo bardzo boleśną miał mękę
 Niepewny, co by stracił, — wzrok, czy rękę?
 Aż jakoś gdy się skończył bój przy bramie,
 Ujrzał Stach że miał skaleczone ramie.»

«Biedny Stach!» odparł Bartek Szydłowskiemu.
 Lecz w tem rzekł Jacek: «Cześć Bogu naszemu!
 Początek dobry; — no! a jakże dalej?
 A Bartek na to: «Co tak Bóg zapali,
 Na samym Sączu zagasnąć nie może.
 My młódź w szeregi pójdziem w imie Boże!»
 «O! gdybym młodszy! westchnął Janusz stary,
 A tak co ze mnie? ot chyba na mary!»
 Góral zaś krzyknął: «Bartku! do tej pory,
 Jeszcze nie syte krwią nasze topory!
 Kądy wam droga i my pójdziem z wami,
 A wiecie, nie źle w boju z góralami.»

Lecz nagle Bartek drgnął na całym ciełe,
 We drzwiach obaczył wchodzącego Trełę
 Z żebrakiem. Treła rzekł smutnemi słowy:
 «Bartku! dla panny Basi grób gotowy.

Powstali wszyscy smutni i ponurzy.
 Bartłomiej jał się zbierać do podróży,
 Bo miał z pogrzebu iść służyć wojacko.
 Ale w tem Jacek głosi wieść żebracką:
 «Hej! posłuchania dla starego dziada!
 On o Czarnieckim wieści opowiada.»
 A stary żebrak spojrzawszy do koła,
 Rzecze: «Sławetni! — moja wieść wesola.
 Tak! — nasz Czarniecki Podgórze już rzucił,
 I z husarzami w Lubelskie zawrócił».
 «Więc za nim!» Bartek zawołał do młodzi,
 «Za nim! — nad Polską nowe słońce wschodzi!»
 Wziął trumnę, bardę, wybiegł; rzesza cała
 Za nim do domu Janusza zdążała.

K O N I E C.

Lwów, w Lipcu 1858.

DOPISKI.

Rzecz ta wzięta jest z czasu kiedy cała Polska zalana była wojskiem Karola Gustawa aż po Tatry; na zachodzie grasował sprzymierzony z nim niewierny lennik polski, Kurfürst brandeburski, wschód zaś i Litwę niszczyło wraz z Moskwą zbuntowane kozactwo ogniem i szablą. Nie było prawie kąta w Polsce gdzieby nieprzyjaciół nie dotarł zniszczeniem. Król musiał uchodzić na Szląsk do Głogowy, wojsko potworzywszy związkowe koła opuściło hetmanów, Czarniecki jeden trzymał się długo w Krakowie wspierany meśwem młodzieży akademickiej i miejskiej; w końcu ustąpił i on przemocy. Na całą Polskę nie zajęta była jedna tylko Częstochowa.

Tymczasem zbierał się na Podgorzu Krakowskim i w Tatrach materiał palny do wielkiego dramatu wyswobodzenia, którego pierwszym aktem była konfederacja Tyszowiecka, dwa zaś ostatnie skończyły się w Danji i w Moskwie z sławą oręża polskiego.

Nowy-Śącz zagrożony rzezią od szwedzkiego pułkownika Sztajna, w razie gdyby kogo schwytano na znośnię się z Czarnieckim, zostawało przez parę tygodni w nieustannej trwodze; wiedział bowiem prześwietny magistrat że tak niektórzy z szlachty mieszkającej w Śączu, jako też całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w świty wieśniacze znośnię się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszym schwytaniu zatem mogło przyjść do rzezi, a co gorsza prawie nie było się czem bronić, bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu,

arjanowi. Rzecz w końcu przysłała do przesilenia. Szwedzi postanowili wyciąć i spalić miasto, aby nie mieć nieprzyjaciela za plecami na tak korzystnem stanowisku jak Sącz; wypadało im bowiem wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, który przeciągał po Podgórzu na czele półku królewskiej hussarji. Mieszczanie atoli dowiedziawszy się o ich planie, znieśli się z gromadą z Nawojowej i goralami pod dowództwem Wąsowicza, i uprzedzili Szwedów o trzy dni w planie.

Powstanie w Sączu zdziałane 13go Grudnia 1655, rozszerzyło się wnet po całym Podgórzu. Szlachta z dworców, wieśniacy z chat zbrojni w kosy i siekiery szli i bili walęsające się do Podgórzu niedobitki Sąddeckie.

Czarniecki połączywszy z swym półkiem oddziały powstańców, ruszył natychmiast w Lubelskie, a z tamtąd do Tyszowiec w Bełżkie, gdzie Rewera Potocki W. H. K. Stanisław Lanckoroński H. P. K. Krzysztof Tyszkiewicz, wd. Czernichowski, Jędrzej Potocki obózny, Kor. i Hiacynt Szembek, starosta Bogusławski spisali pamiętny akt konfederacji Tyszowieckiej na obronę kraju. Czarniecki był duszą całej tej sprawy. Konfederacja stanęła 29go Grudnia; cztery dni przedtem odstąpili Szwedzi od oblężenia Częstochowy. Tak zaświtała znowu zorza polskiemu orężowi.

Podania Sąddeckie niosą, że w pewnej dziewczynie miejskiej rozkochał się oficer dragonów *Pontusa de la Garde*. Kiedy Sztajn rozkazał wojsku gotować się do rzezi, nie nie mógł ten przenieść aby jego kochanka wraz z krewnymi ginęła, i ostrzegł ją że będzie rzeź, choć Sztajn nakazał zachowywać tajemnicę pod karą gardła. Od niej to dowiedziało się mieszczaństwo o niebezpieczeństwie i miało czas uprzedzić Szwedów.

Smutną rolę szpiegów szwedzkich grali w tej sprawie Wespazjan Szlichting arjanin, dziedzic Dąbrowej, autor pism, za które sejm odsądził go od czei, — Florjan Siemichowski, syn najgodniejszego ojca, dwukrotny apostata z arjaństwa do katolicyzmu i z katolicyzmu do arjaństwa; ścięty za wyrokiem miejskim w Sączu — i żyd Finkel arędarz Konstantego Lubomirskiego, starosty sądeckiego.

Winienem tu dodać że tylko Basia, Bartek, Janusz, Babka i Jacek są postaciami sfingowanemi; wszystkie inne osoby występują w roli i godności jak ich zachowały akta sądeckie.

Wieczorem.

St. 3. w. 5 *Zaś stare miasto opuściły panny.*

Starem – miastem nazywają do dziś dnia w tamtej okolicy Stary Sącz. Przed gwałtami szwedzkiego żołdactwa i arjanów zmuszone były Zakonnice tamtejsze uchodzić i kryć się po szlacheckich dworach.

St. 3. w. 12 *A nasz Bylina rotmistrz padł w Krakowie.*

Bylinowie pochodzili z Jeżowej w ziemi sądeckiej. Rodzina ta była powszechnie szanowaną tak przez mieszczan jako i przez lud. Rotmistrz Bylina zginął w Krakowie w czasie oblężenia czyniąc wycieczkę na czele studentów i czeladzi.

St. 7. w. 13 *Co który wspomni że jego gurmana
Z koroną....*

Górale z dóbr królewskich mieli na rękawie u gurmany wyszytą czerwoną koronę.

St. 7. w. 15 *Litmanowski Nędza*

Tak się nazywał sławny pod te czasy rozbójnik w Tatrach. Przy najściu Szwedów zaprzestał on rabunku po dworach i kmieciach, i napadał na przeciągające lub furazujące oddziały szwedzkie lub arjańskie zbory.

St. 7. w. 19 *A Wąsowicze lud zbierają w pólki*

Bracia Wąsowicze, szlachta, sławni meztwem i zaufaniem u ludu. Po wzięciu Krakowa prowadzili na czele górali partyzantkę przeciw Szwedom.

Sam na sam.

St. 13. w. 14 *W płasach skoczyły na brzeg topielice*

Tak lud tatrzański jako i wschodnich Karpat wierzy w To-

Dziennik literacki Nr. 14. *Dziewczę z Sącza.*

pielice, duchy wodne nęcące człowieka na dno rzek lub jezior; Leśnice, duchy wprowadzające w obłęd i t. d. Legendę o *Mnichu* słyszałem w Tatrach i na Pokuciu. Na Pokuciu zwie on się Czerneć.

Gospoda.

St. 31. w. 4 *Przeto iż celnie podpalał organy.*

Organy, organki, były bronią do strzelania z murów. Kilka lub kilkanaście luf żelaznych wisiało na pasach, za pomocą których nadawano im kierunek. Podpalone razem sprawiały w szeregach szkodę jak ogień kartaczowy.

St. 34. w. 18 *Znam Saxon etc.*

Speculum Saxonum; albo prawo Saskie i magdeburskie. Prawem tem rządziły się prawie wszystkie miasta polskie.

St. 35. w. 15 *Szwedzi rabują kościół Małgorzaty.*

Kolegjata św. Małgorzaty w Nowym-Sączu należała do tych świątyń, ku którym się szczególnie zwracała hojność zamożnych mieszczan i szlachty.

St. 35. w. 25 *Pani Stannowej i podstarościęgo.*

Wdowa po Hieronimie Stanno staroście sądeckim i chorążym sanockim, który poległ w potrzebie pod Zbarażem. Arjańska szlachta miała do niej szczególną nienawiść za to że udało się jej przykładem pobożności nawrócić kilka arjanów do katolicyzmu. Córka jej po śmierci ojca i wśród niedoli ojczyzny poszła do klasztoru. Podstarościm Sądeckim był Boczkowski, równie nienawidzony od Arjanów za gorliwość w nawracaniu.

St. 36. w. 1 *A z sarkofagu ks. Fuzorjusza.*

Ksiądz Fuzorjusz, poprzedni kustosz kolegiaty, był szczególnie jej dobroczyńcą i gorliwym apostołem katolicyzmu między arjanstwem tej okolicy. Po nim został kustoszem ksiądz Cielątkowski. Ten miał czynny udział w powstaniu sądeckim.

St. 40. w. 14 *Staruszka co tam mieszkała pod murem.*

Historyczne. W czasie oblężenia Częstochowy służyła ta żebraczka za szpiega i za posłańca oblężonym.

St. 42. w. 10 *Tam Wojniłowicz wziął załogę całą.*

Wojniłowicz, porucznik hussarji hetmańskiej; kosystujący w Przemyśle, dowiedziawszy się o łupieztwach Prackiego w Krośnie, który z dominikana stał się stronnikiem Szwedów i dla nich w Krośnie werbunek założył, wpadł tam z chorągwią wojewody Czernichowskiego, ludzi Prackiego zabrał w niewolę, samego zaś wyciągniętego z za pieca kazał rozstrzelać.

Felicjan Kochowski, brat poety-kronikarza był rotmistrzem piechoty nawojowskiej.

BUS